DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII Warszawa, 17 sierpień 1952 r. Nr 33 (351)

Andrzej JOCHELSON

Śląska ikonografia N. Maryi Panny

IKONOGRAFIA Najśw. Maryi Panny w krajach katolickich, zwłaszcza tych, które były katolickie w średniowieczu, stanowi niezwykle obszerny przedmiot badań przekraczający rozmiary nie tylko — artykułu czy broszury, lecz nawet przeciętnie grubej książki.

W średniowieczu chrześcijańskiej Europy, w epoce sztuki romańskiej i gotyckiej, Najświętsza Bogarodzica była wraz z Jej Synem, Bogiem Człowiekiem, najczęstszym przedmiotem natchnienia ówczesnych twórców-plastyków. Wiara bowiem owych ludzi była wielka, niezachwiana, głęboka, a z wiary ich wykwitała miłość i cześć dla Bogarodzicy.

Śląsk w kulcie Maryi nie pozostawał w tyle za innymi dzielnica-



Madonna z Barda Śląskiego ok. 1200 r.

mi Polski. Prastara ta piastowska ziemia, o wyjątkowo mocnych tradycjach kultowych pogańskich (z ośrodkami na górze Sobótce pod Wrocławiem), bardziej burzliwie od innych dzielnic Polski, przeszła swą chrystianizację, wraz z Mazowszem, przeżywając reakcję pogańską, krwawo stłumioną w połowie XI w. Tutaj w następnych wiekach rozwija się niezwykle bujnie życie chrześcijańskie, z tej ziemi licznie rodzą się Święci, Błogosławieni i słudzy Boży, tędy przypada droga ziemska innych Świętych i Błogosławionych, aczkolwiek z dala od Śląska zrodzonych, lecz tu działających, tutaj rozkwitają wspaniałe klasztory, powstają też liczne miejsca, szczególnego kultu Najświętszej Panienki, że wspomnę tylko Piekary, Bardo Śląskie, Wambierzyce, Strzegoń, Kościelec, Stary Bolesławiec, Stożek koło Międzygórza, słynne nie tylko na Śląsku, lecz nawet poza jego granicami.

W ramach mego artykułu dotknę tylko kilku charakterystycznych cech linii rozwojowej ikonografii-Maryi Panny, zwłaszcza cech oryginalnych, dowodzących samodzielności rodzimej twórczości.

CUDOWNY posążek Najświętszej Maryi Panny w Bardzie Śląskim, przedstawiający Maryję jako Królową Niebios, na tronie, w koronie, z ukoronowanym również Dzieciątkiem, niewielki rozmiarami, chociaż szeroko słynący łaskami, otwiera — w sensie historycznym — imponujący ilością szereg posągów Madonny. Datę powstania posążku określa się na początek XIII wieku. Jest on skomponowany osiowo, wyrzeźbiony dość prymitywnie i naiwnie z klocka drzewa bukowego. Twórca posążku zapewne dał ze siebie maksimum wysiłku i umiejętności, aby ukochanej Pani Niebios i Ziemi nadać jak najpiękniejsze kształty i jak najserdeczniejszy uśmiech. To pierwsze nie zupełnie udało się ludowemu twórcy, natomiast uśmiech, którym opatrzył oblicze Madonny ma w sobie tyle życia i tyle prawdziwości, że on to zapewne w pewnej mierze przyczynił się do tego, iż zaczęto powszechnie do łagodnie uśmiechniętej Dziewicy — Matki uciekać się z prośbami, Obecnie, gdy w czasie oblężenia Wrocławia rozszarpany pociskiem został najpiękniejszy posąg sztuki romańskiej na Śląsku — Św. Jana Chrzciciela z północnej ściany Katedry — posąg Matki Boskiej z Barda jest najstarszą znaną rzeźbą Śląska.

Cudowną Panią Bardzką kopiowano. Wzorowane są na niej późniejsze dwa — również drewniane — posągi Matki Boskiej w Kłodzku i w Ząbkowicach. Ten prymitywnie rzeźbiony posążek stanowi „arkę przymierza" pomiędzy erą przedchrześcijańską a erą dojrzałych w formie posągów sztuki gotyckiej. Zanim jednak do sztuki gotyckiej przejdę, wspomnę, że poza posągiem z Barda sztuka romańska na Śląsku lubuje się w przedstawianiu Bogarodzicy w reliefowych szczegółach rzeźbiarskich architektury, zwłaszcza w tympanonach. Słynny tympanon w portalu kościoła św. Wincentego we Wrocławiu (od XVI wieku nie istniejącego) na jednej ze stron ma scenę zaśnięcia Najśw. Maryi Panny, scenę szczególnie umiłowaną przez plastyków śląskich. Tympanon zaś z kościoła Najśw. Maryi Panny na Piasku przedstawia Bogarodzicę jako Królowę na tronie przyjmującą hołd wraz z modelem świątyni od fundatorów: wdowy i syna po Piotrze Włostowiczu. Również ze starej świątyni Cystersek w Trzebnicy, fundowanej jeszcze przez księżnę śląską św. Jadwigę i jej małżonka Henryka I Brodatego, pochodzący tympanon przedstawia Maryję adorowaną przez Anioły.

Wreszcie w iluminowanych rękopisach z epoki romańskiej tj. mszałach, psałterzach i graduałach często spotyka się wyobrażenia Najśw. Maryi Panny, czy to w scenach z życia Chrystusa (Hołd Trzech Króli, Pasja) czy też w scenach z życia Maryi (Zwiastowanie). Owe wyobrażenia Najśw. Panny wykonane w ówczesnym stylu, pełnym dynamizmu i w pięknym kolorycie — wyrażają hołd i serdeczne umiłowanie Bogarodzicy przez nieznanych z imienia i nazwiska iluminatorów.

GOTYK rozszerzył kult Maryi Panny na dalsze rodzaje plastyki. W gotyckich, wiejskich kościołach pojawiają się na ścianach freski, na ołtarzach znajdują się dzieła malarstwa sztalugowego, wreszcie z kombinacji malarstwa, płaskorzeźby i rzeźby figurowej powstaje szczytowa forma piękna ołtarzów gotyckich: tryptyk i poliptyk. I w każdej z tych dziedzin, tj. takich, które znała już sztuka romańska, czyli w rzeźbie figurowej, w reliefach — szczegółach architektonicznych i w iluminacji ksiąg, jak też w nowo odnalezionych: we freskach, w malarstwie sztalugowym i w tryptyku — rozbrzmiewać będzie chwała Maryi.

Już w latach około 1330 — 1340 spotyka się na Śląsku wyróżniające się oryginalnością koncepcji artystycznej zjawisko: mianowicie zespół tzw. Madonn na lwach. Tego typu posągów znaleziono na Śląsku kilka, kilka innych aż w okolicach Gdańska, pokrewne zaś im posągi spotkano w Gotlandii, na Mazurach, w Wielkopolsce, Małopolsce, w Czechach, a nawet w Austrii (wg. T. Dobrowolskiego „Sztuka na Śląsku", str. 105), a także w północnej Bawarii (E. Wiese „Schlesische Plastik", str. 22). Największe jednak skupienie tego rodzaju rzeźb jest na Śląsku (w tym wszyscy uczeni są zgodni), co więcej, na Śląsku jedynie zachowały się fragmenty całych ołtarzy, w tym stylu wykonanych, co pozwala przypuszczać, że Śląsk był ojczyzną i głównym ogniskiem tej twórczości (wg. Dobrowolskiego, op. cit.).

Nazwa tego rodzaju posągów Najśw. Maryi Panny pochodzi stąd, że umieszczone są one z reguły na lwie lub kilku lwach. Lew XIV wieku jest symbolem potęgi. Przystoi Królowej Niebios i Ziemi stać na lwie, przystoją też Maryi insygnia potęgi: więc często przedstawiają ją z berłem w ręku lub w koronie. Cechą wyróżniającą te rzeźby jest stereotypowy uśmiech, z szerokim rozwarciem ust i mocnym zmrużeniem powiek, również śrubowato kręcone wałeczki włosów, dalej pewne usztywnienie postaci, lekko czasem zgiętej w kształcie litery S, doskonale jednak zharmonizowanej w szczegółach, wreszcie pewne spłaszczenie bryły, świadczące, że

(Dokończenie na str. 3.)



Madonna na lwach ok. 1304 r.
Muzeum Śląskie we Wrocławiu

REINER MARIA RILKE (1875 — 1926)

Wniebowzięcie Maryi

I

Nie ze spojrzeń tylko młodych, w których
Smuga szat Twych zwiewnym żalem trwa.
Ach, Ty z pąków kwietnych mkniesz do góry,
Z lotu, jaki kręto kreśli ptak.

Z najpełniejszej prawości dziecięcej,
Z wymion mlecznych i pokarmu krów.
Wszystko stało się o uśmiech lżejsze,
Niebo tylko pełniejsze o cud.

O. zerwany z grud ziemskich owocu,
Grono, w którym wszelka słodycz jest,
Niech poznamy jak Ty ku pomocy
Światu nieprzebraną błogość ślesz.

Bo stoimy tu, gdzie Ciebie więcej
Nie ma. Pocieszenia czeka świat,
Niby wina siły, użycz łask
Bo się stało, co jest nad pojęcie.

II

Drogocenna woni mknąca wzwyż,
Dymie znad kadzielnic kołysania
Rozdzwoniony w niebo teorbanie,
Mleko z ziemskich tryskające żył.

Co zbyt wątłe są. pożyw niebiosa.
Rozżalony kraj ukoić chciej.
O, złocąca się jak smukłość kłosów,
O, przeczysta niby stawów cień.

Jak, gdy studzien szelest późna nocą
Nasz najsamotniejszy łowi słuch
Tak Tyś, Wniebowzięta dla mych oczu.
Jest samotna. Wzrok mój pragnie znów

W Tobie żyć. Jak przez igielne ucho.
Nim się nad widzialne zechcesz wznieść,
Czeka, aby, wierny Ci tak długo,
Z Tobą w niebo tęczujące wejść.

Przełożył Mikołaj Bieszczadowski

Kogo wychowują szkoły amerykańskie

KTÓREŚ z amerykańskich pism codziennych zamieściło następującą notatkę:

„Obiad businessmanów i nauczycieli.

W jednej ze szkół bostońskich odbyło się spotkanie czołowych businessmanów z nauczycielami. Miało ono na celu wykazanie, w jaki sposób szkoła wpływa na rozwój powszechnej produkcji przez budzenie i rozwijanie w swych wychowankach odpowiednich potrzeb i dążeń".

Amerykańscy teoretycy wychowania stwierdzają zupełnie niedwuznacznie, że problematyka produkcji i konsumpcji wyznacza kierunek wychowania a obecnie przede wszystkim nakłada na nauczyciela obowiązek dostarczenia konsumenta.

„Musicie budzić i rozwijać pragnienia i dążenia do lepszego domu, do piękniejszego otoczenia, do dywanów, obrazów, radia, instrumentów muzycznych, książek, lodówek, pięknych samochodów" — wzywa „The National Education Association", największe stowarzyszenie nauczycieli i wychowawców w piśmie wysłanym do kierowników okręgów szkolnych. Pismo to zwraca uwagę sfer nauczycielskich i przemysłowych na ścisły związek między pracą szkoły a wzrostem ekonomicznego dobrobytu kraju.

Szkoła powinna kształcić „zamiłowanie do podróży, dążenie do osobistego piękna i uroku, który podkreślają odpowiednie stroje, podnosi sztuka modniarska i jubilerska, a któremu zakłady upiększania i kosmetyki nadają siłę magnetyczną". Szkoła ma stwarzać te i wiele innych jeszcze równie pożytecznych dążeń a praca nauczycieli powinna być nastawiona przede wszystkim na główne gałęzie produkcji danego miasta czy stanu. Niech jedni zajmą się np. badaniem „stosunku przedsiębiorstw sprzedaży placów miejskich i nieruchomości do wychowania" a jeszcze inni niech zainteresują się związkiem między transportem, parą, siłą elektryczną i wychowaniem. W Ameryce kontakt szkół z przedsiębiorstwami jest w ogóle bardzo żywy. Realizuje on się poprzez specjalne wydziały propagandowe, istniejące przy każdym większym przedsiębiorstwie, tzw. komitety wychowania publicznego (Public Education Comitees), których zadaniem jest wyrabianie przychylnej opinii wśród społeczeństwa dla danej gałęzi produkcji. Rozpowszechniają one i reklamują wszystko, co tylko można sprzedać — od papierosów „Lucky Stricke" podnoszących sex-appeal do „Uniwersytetu Kieszonkowego" i „Historii filozofii w obrazkach".

„Połączenie wysiłku nauczyciela i producenta, tych dwóch sług społeczeństwa — pisał J. H. Puelicher prezydent American Bankers Association powinno przynieść ze sobą rozwiązanie wielu problemów, które obecnie dręczą ludzkość"[1]).

PRZEROST produktywizmu wytworzył w mentalności Amerykanina specyficzne cechy, nastawił ją na zupełnie specjalne zainteresowania, zagadnienia, problemy. Siłę twórczą, twórcze możliwości, tkwiące w każdym człowieku, skierował w określone łożyska, tworząc typową postawę wobec życia, typowy system ocen i wartości, który wyraża się zarówno reklamą jakiejś „rewelacyjnej szminki do warg" jak kazaniem bostońskiego kaznodziei, upatrującego przewagę chrześcijaństwa nad innymi religiami w tym, że „nie sprzeciwia się ono posiadaniu przez nasze panie najnowszych maszyn do prania, czego np. buddyzm nie byłby w stanie uczynić[2])".

Koniunktura rynkowa narzuca przeciętnemu Amerykaninowi wszystkie jego potrzeby, czy to materialne czy duchowe. Konsumpcja i spożycie zostały podporządkowane rozwojowi produkcji. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że amerykańskie pojęcie produktywizmu odwróciło stosunek wytwórczości i spożycia, uzależniło bowiem konsumpcję od tego, co już zostało wyprodukowane i czego nadmiar istnieje na rynku. Rzeczy wartościowe zarówno jak tandeta szukają dróg dojścia do odbiorcy. Wszystko, co zostało wytworzone musi być jak najszybciej skonsumowane, bez względu na to, czy jest istotnie przydatne czy nie. Rzeczy wyprodukowane a nie spożyte stanowią bowiem przeszkodę, hamują rozwój produkcji, stwarzają niebezpieczeństwo gospodarczych kryzysów. Dlatego istnieje walka o zdobycie konsumenta, akcja w którą angażuje się absolutnie wszystko, zacząwszy od reklamy poprzez politykę, skończywszy na szkolnictwie.

Produkcja nie kształtuje się tu w zależności od istotnych potrzeb ludzkich ale wręcz przeciwnie, deprawuje ona w imię zbytu te właśnie istotne potrzeby człowieka. Zainteresowania ludzkie stają się rynkiem handlowym; wolno i trzeba uderzać do wszelkich instynktów dobrych i złych, do wszelkich żądz, do wszelkich rodzajów ambicji. Oduczyli się przy tym wytwarzać to, czego sami prawdziwie pragnęli, natomiast uczą się pragnąć tego, co inni produkują i podsuwają im do użytku. Tak tworzyła się bierność kulturalna, przeciętność, całkowite zagłuszenie tego, co szczere i wartościowe przez wytwórczość narzucającą się przemocą.

W takiej atmosferze trudno o powstanie jakiegoś głębszego związku człowieka z jego dziełem, stanowi ono bowiem jedynie sezonową rewelację, ustępującą bardzo szybko miejsca innej nowości, podsuwanej przez innego producenta. Konsumpcja tych wszystkich wytworów musi być także powierzchowna. Człowiek zatraca tu z konieczności jakąkolwiek zdolność wartościowszego przyjmowania tego, co zostało wytworzone. Stosunek jego do przedmiotu produkcji i konsumpcji sprowadza się wyłącznie do przedmiotu sprzedaży i kupna. Dzieło człowieka stało się jedynie towarem, który ma większy albo mniejszy zbyt na rynku, niezależnie od tego do jakiej dziedziny twórczości należy. Taki sam niemal towar stanowią dzieła sztuki jak mydło do prania.

W tych warunkach i w tej atmosferze zrodził się właśnie ideał konsumenta, na którego realizowanie amerykańskie szkolnictwo jest przede wszystkim nastawione. W Ameryce bowiem wierzy się, że „wychować" to znaczy „przyzwyczaić" — a przyzwyczaić można absolutnie do wszystkiego: do żucia gumy i do czytania Szekspira. W Ameryce wierzy się ponadto niezachwianie, że szkoła urabia wszystkie przyzwyczajenia. Zadaniem jej jest nie tyle nauczanie, ile wychowanie dobrze „przystosowanej" jednostki. Przystosowanej do czego? — Oczywiście do otoczenia i jego wymagań, do umiejętności zyskiwania sukcesu życiowego. A przez „sukces" rozumie się tu to, co jest dowodem powodzenia, a więc zarówno „dobry business" jak „wzajemność w miłości".

Po co młodzież ma np. marnować cenny czas na naukę bezużytecznych języków czy historii, jeśli ważniejsze jest dla niej, aby znała najtańszy sposób dostawy kartofli? Arytmetyka? — Umiejętność niewątpliwie pożyteczna, o ile pomaga przy kupowaniu w sklepie kolonialnym do obliczania reszty i rachunków w codziennym gospodarstwie.

Ilość przedmiotów wykładanych w szkołach amerykańskich wzrosła z kilkunastu w ubiegłym stuleciu do kilkuset obecnie. W programach szkół średnich znajdujemy jako przedmioty systematycznie wykładane między innymi: reperację samochodów, sztukę sprzedawania, umiejętność odpowiedniego doboru garderoby, znajomość form towarzyskich itp.

Władze szkolne pewnego dystryktu lokalnego w stanie Kentucky zwróciły się z zapytaniem do odnośnych czynników, czy dystrykt ma prawo wydatkować fundusze na naukę tańców i brydża. Uzyskano następującą odpowiedź: „przyjemności te stały się tak dalece integralną częścią amerykańskiego stylu życia i tyle osób im się oddaje, że nie tylko powinno pozwalać się na ich nauczanie ale co więcej zachęcać do tego". [3])

Istnieje olbrzymia ilość szkolnych klubów amatorskich np: klub studiowania etykiety, klub gospodyń, klub bieliźniany, uczący dobrego smaku w dobieraniu bielizny itd. Gazetki szkolne prowadzą specjalne rubryki „How to choose a School Wardrobe?", w której uczą jak zestawiać gatunki i kolory materiałów, aby uzyskać efekt piękna i harmonii. Inne rubryki „Latest Fashion Flashes" informują o najnowszych szlagierach mody".

Dowodem, jak wielka jest rozpiętość tego, czego można się nauczyć w szkołach amerykańskich, jest prowadzenie systematycznych wykładów o kształtowaniu się stosunków w rodzinie. To jest też rzeczą, której można się nauczyć! Każda szkoła posiada w swoich kartotekach moc podręczników, które pouczają, jak należy zwalczać wszelkie trudności psychologiczne pojawiające się w życiu, począwszy od najwcześniejszego dzieciństwa do najpóźniejszej starości. Najbardziej powszechnie stosowanym środkiem, mającym na celu zmniejszenie trudności życiowych jest.., uśmiech. Dzieci uczą się w szkole sztuki uśmiechania, a ktoś, kto zająłby się lekturą szkolnych gazetek amerykańskich mógłby sądzić, że tej właśnie sztuki uczą się one w szkołach przede wszystkim. „Uśmiechnij się" umieszczone jest tu jako maksyma obok takich zasad jak „bądź dzielny i uczciwy". „bądź rycerski", „bądź ofiarny".

Ostatecznie europejczyk doznać może wstrząsu na widok automatycznie rozkwitającego uśmiechu na każdej twarzy w New Yorku, Chicago, czy Bostonie, z którą spotka się wzrok ludzki.

Wychowanie szkolne cieszy się w Ameryce olbrzymim autorytetem. Stawia na nie zarówno przeciętny mieszkaniec stanu X czy Y, jak wielki producent. Pierwszy wierzy, że zapewni ono życiową karierę jego dzieciom, drugi, że umożliwi zbyt wytwarzanym przez niego produktom.

Żur.

---

1) cyt. J. Chałasiński „Szkoła w społeczeństwie amerykańskim" 1936 r.

2) cyt. („Wort und Wahrheit") — Monatschrift fur Religion und Kultur, Heft 3, Marz 1952.

3) cyt. za J. Chałasińskim.

NOTATNIK POLITYCZNY

W Anglii i we Francji

NIEDAWNO ukazała się w Wielkiej Brytanii broszura wydana przez komitet organizacyjny 51 dorocznej konferencji brytyjskiej Labour Party, która ma się odbyć w czasie od 25 września do 3 październik br. w Morecambe. Broszura ta na 54 stronach druku zawiera tekst wniosków i rezolucji przedstawionych w związku ze zbliżającą się konferencją Labour Party przez terenowe organizacje labourzystowskie i związki zawodowe. Uderza w niej wielka ilość rezolucji, krytykujących ostro imperialistyczną politykę wojenną, wojnę w Korei, wyścig zbrojeń. W wielu rezolucjach podkreślone są żądania zawarcia paktu 5 mocarstw, podpisania traktatu pokojowego z Niemcami i pokojowego rozwiązania kwestii niemieckiej. Treść tych rezolucji jasno wykazuje, jakie są nastroje mas członkowskich Labour Party. Stawia to kierownictwo partii wobec nieuchronnej perspektywy ostrych ataków na konferencji za popieranie polityki zbrojeń i ścisłej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi.

Równolegle ze wzmagającym się naciskiem dołów partyjnych na kierownictwo pogłębia się w łonie samego kierownictwa ferment na gruncie polityki zagranicznej. Pozostając pod naciskiem dołowych organizacji zarówno Labour Party jak i związków zawodowych (T.U.C), które są opozycyjnie nastawione wobec polityki zagranicznej zainicjowanej przez Labour Party i kontynuowanej obecnie przez konserwatystów, kierownictwo partii wypowiada się nadal za polityką Edena. Jednak lewica labourzystowska i część centrum domaga się przyjęcia taktyki odpowiadającej nastrojom panującym w brytyjskiej opinii publicznej, a zwłaszcza wśród robotników.

Najbardziej jaskrawym przejawem rozdźwięków panujących w łonie kierownictwa Labour Party, stało się niedawno głosowanie nad ratyfikacją układu ogólnego i porozumienia Wielkiej Brytanii z „europejską wspólnotą obronną". Jak wiadomo 253 labourzystów wypowiedziało się w głosowaniu przeciwko ratyfikacji. Decyzja głosowania przeciwko rządowi została przyjęta przez Labour Party wbrew woli kierownictwa, które zdecydowane jest dążyć do utrzymania wspólnej dwupartyjnej polityki zagranicznej. Stąd też w parlamencie polemika między labourzystami, przybrała kilkakrotnie ostrzejsze formy, niż polemika między Labour Party a konserwatystami. Trzeba jednak podkreślić, że Labour Party, głosując przeciwko rządowi w sprawie ratyfikacji układów wojennych, podkreślała jednocześnie, że nie występuje przeciwko zasadzie lecz przeciwko terminowi ratyfikacji, ponieważ uważa, iż ratyfikacja w chwili obecnej, „jest nie na czasie". Argumentów tych używał nie tylko Attlee, lecz również Crossman, który przemawiał w imieniu bevanistów.

Debata nad ratyfikacją i przebieg głosowania ujawniły słabość pozycji rządu Churchilla. Pisze o tym korespondent francuskiej agencji AFP. „Opinia publiczna po 9 miesiącach rządów konserwatywnych ma wrażenie,iż rząd nie ma własnej określonej polityki, oraz że nie jest w stanie wkroczyć na nową drogę, zarówno na odcinku polityki zagranicznej, jak i wewnętrznej... Mimo kontynuowania polityki zagranicznej labourzystów, zasada dwupartyjnej polityki zagranicznej chwieje się. Część członków Izby Gmin z ramienia Labour Party przeciwstawiających się remilitaryzacji Niemiec, skupiła się wokół centrowca Daltona. Jeśli więc bevaniści i grupa centrowa utrzymają swój sojusz w sprawie niemieckiej, i jeżeli nadal apelować będą do związków zawodowych, to można liczyć, że w polityce Labour Party, nastąpią zmiany, a może nawet do władzy w Labour Party dojdą nowi ludzie.

Nie jest tajemnicą, że ratyfikacja układów wojennych przez Izbę Gmin miała ułatwić ratyfikację tych układów przede wszystkim w Paryżu. Paryski „Monde" pisze jednak, komentując wyniki głosowania w Londynie, że wątpliwe jest, aby ratyfikacja układów przez Wielką Brytanię przy sprzeciwie Labour Party miała pozytywny wynik na ratyfikację tychże układów we Francji. „Francuska opinia publiczna — pisze „Monde" przywiązuje większe znaczenie do zastrzeżeń członków Labour Party wobec ratyfikacji tych układów, niż do wywodów Edena. W chwili obecnej szanse ratyfikacji układów w Paryżu są bardziej nikłe niż kiedykolwiek. Przyczyną tego są takie fakty, jak odmowa USA w sprawie uwzględnienia żądań francuskich odnośnie zamówień „off shore", zniechęcające wyniki obrad konferencji 6 ministrów krajów należących do planu Schumana oraz rozmaite wyskoki prasy niemieckiej, nie mówiąc już o sporze w sprawie Saary".

We Francji bardziej jeszcze może niż w Anglii opinia publiczna przeciwstawia się polityce wojny w ogóle, a polityce uzbrajania Niemiec zachodnich w szczególności. Rządowi francuskiemu trudno będzie przełamać opór społeczeństwa lub przejść nad nim do porządku dziennego tym bardziej, że sam znalazł się w poważnych kłopotach w związku z redukcją amerykańskich zamówień na sprzęt zbrojeniowy w przemyśle francuskim. Sprawa ta wywołała we Francji wiele zamieszania, a Reuter doniósł, że ponad połowa z pośród deputowanych radykałów przyłączyło się obecnie do tych deputowanych, którzy reprezentują wrogie stanowisko wobec ratyfikacji traktatu o „europejskiej wspólnocie obronnej" z udziałem Niemiec zachodnich.

Śląska ikonografia N. Maryi Panny

ta forma wywodzi się z płaskorzeźby. Posągi te mają niezwykle dużo wdzięku, spośród śląskich zaś posągów Madonn na lwach szczególnie piękną jest siedząca na dwóch lwach, na tronie, między adorującymi Ją Aniołami (bez skrzydełek) z Dziecięciem Bożym w prawej ręce i z berłem w lewej, Madonna ze Skarbimierza (obecnie w Muzeum Państwowym we Wrocławiu, mylnie u Dobrowolskiego nazwana Madonną z Kowalowa). Dość długo na Śląsku tworzono tego typu Madonny. Ostatni znany tego rodzaju posąg, zresztą znacznie bardziej realistycznie potraktowany, określony jest przez uczonych jako pochodzący z końca XIV wieku.

WCZESNA sztuka gotyku przynosi też bardzo interesujące malarstwo freskowe w kościółkach wiejskich. Bardziej znane są freski w Strzelcach świdnickich koło Sobótki, w Jasłonie w powiecie wielkostrzeleckim na Opolszczyźnie, w Starym Bielsku na Górnym Śląsku, w Kałkawie, niedaleko Nysy i w Małujowicach blisko Brzegu. W malarstwie tym postać Bogarodzicy pojawia się bardzo często w scenach z życia Chrystusa. Niektóre z tych polichromii, między innymi, polichromia w Strzelcach Świdnickich czerpie wiele tematów z życia Maryi. W tym dziele po raz pierwszy w plastyce Śląska Matka Boża przedstawiona zostaje jako Mater Misericordiae, tj. jako broniąca płaszczem swego miłosierdzia dusze od gniewu Bożego. Wyobrażenie to będzie niejednokrotnie powtarzało się w średniowiecznej plastyce.

Malarstwo sztalugowe wykształca się w połowie XIV wieku. Wieki XV i XVI będą już pełnią jego rozkwitu. Nad malarstwem sztalugowym śląskim zaciążyła bardzo poważnie bliskość Czech, podówczas jednego z najświetniejszych ognisk plastyki. O ile też chodzi o plastykę sztalugową, śmiało można powiedzieć, że te obrazy, które dostały się na Śląsk, jako import z Czech m. in. bardzo wysoko ceniona w nauce Madonna z katedry szkoły czeskiej, tzw. Madonna biskupa Przecława, (zaginiona podczas ostatniej wojny) i starsza od niej tzw. Madonna Kłodzka z Muzeum w Berlinie, według wszelkiego prawdopodobieństwa św. Trójca z kościoła w Świerzawie, (obecnie w Muzeum Państwowym we Wrocławiu) i św. Anna Samotrzecia z kościoła w Strzegoniu, (obecnie w tymże Muzeum) są zdecydowanie lepszymi dziełami malarskimi od dzieł rodzimych. Maryja przedstawiona jest w najrozmaitszych scenach życia: od małej dziewczynki, zwłaszcza w obrazach św. Anny, aż do Zaśnięcia i Koronacji w Niebie.

W drugiej połowie XV i XVI wieku malarstwo śląskie będzie lubowało się szczególnie w nowych, dotychczas nie przedstawianych, scenach z życia Maryi. Jest to kres mody na fundowanie obrazów do ozdabiania zamawianych już za życia grobowców po kościołach. Najczęściej obraz taki przedstawiać będzie scenę Ukrzyżowania z fundatorem obrazu, klęczącym pod krzyżem. Jednak często fundatorzy zamawiać będą obrazy z Maryją. Maryja będzie rozmawiać z fundatorem w otoczeniu kilku czy kilkunastu Świętych — na tronie — czasami unoszona przez Aniołów wśród chmur. W jednym z takich obrazów, fundator poleci malarzowi, aby wymalował Maryję rozrzucającą monety, jako symbol Maryi — uprosicielki łask Bożych.

Cech malarski miasta Wrocławia w roli fundatora obrazu do ołtarza św. Łukasza polecił wykonać nie w malarskiej, co prawda, technice, lecz w płaskorzeźbie piękną scenę, przedstawiającą Maryję, pozującą do portretu św. Łukaszowi. Jest to bodajże pierwsze tego rodzaju

Dokończenie ze str. 1)

przedstawienie Najświętszej Panny. Płaskorzeźba ta pochodzi z roku około 1500. Znajdowała się w kościele św. Marii Magdaleny we Wrocławiu, obecnie jest w Muzeum Narodowym w Warszawie. Dla rzeźby tej charakterystyczne jest duże zbliżenie do realizmu, zwłaszcza w modelowaniu twarzy. Autorstwo tej płaskorzeźby przypisywał pewien niemiecki uczony (Paul Knötel) Witowi Stwoszowi, względnie któremuś z jego uczniów. Nasza nauka (Tadeusz Dobrowolski) hipotezę tę odrzuca, widząc autora tego dzieła we wrocławianinie, współczesnym Stwoszowi i posiadającemu znaczny warsztat rzeźbiarski, mistrzowi Beinhartowi. Tak czy inaczej, zabytek ten stanowi bardzo wysokiej miary dzieło plastyczne, a zarazem zawiera nawskroś oryginalną koncepcję ikonograficzną Maryi.

Mistrz Jakub Beinhart († 1522), wychowawca ponad 50 artystów-rzeźbiarzy podpisał się pod jednym tylko swym dziełem, mianowicie pod posągiem pięknej Madonny z północnej ściany wspomnianego już kościoła św. Marii Magdaleny we Wrocławiu. Dał też pod tym posągiem datę: 1499. Maryja stoi tam na półksiężycu, trzymając oburącz Dzieciątko, głowę ma uwieńczoną gotycką koroną. Oblicza obu postaci są już bliskie realizmowi, są pełne i kształtne, bez śladu dawnych spłaszczeń. Fałdy szaty przebiegają muszlowo. Ta tzw. „piękna Madonna" jest jedną z dwustu czy trzystu podobnych posągów, rozsianych po całym Śląsku.

NAJDOSKONALSZYM jej wcieleniem, a zapewne też najdoskonalszą rzeźbą Śląska jest Piękna Madonna z kościoła św. Elżbiety we Wrocławiu (obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie). Lekko przechyliwszy głowę pod ciężarem jakże prostej w kształcie, lecz jak pięknej zarazem korony, uważnie spoglądając spuszczonymi w dół oczyma na igraszki Dziecięcia, ledwo uśmiechnięta Maryja, owinięta w szatę majestatycznie sfałdowaną u góry kolisto, dołem w kształt obróconego kwiatu lilii, podtrzymuje prawą ręką wesoło figlujące Dziecię, lewą zaś trzyma jabłko, które z Jej ręki wyjmuje Zbawiciel. Przepiękna modelacja twarzy i dłoni, doskonałe oddanie w ciężkim materiale (rzeźba wykonana jest w kamieniu wapiennym) plastyki postaci i bogatego sfałdowania szat, melodyjność ruchu i liryka wyrazu tak Matki, jak i Dzieciątka, stawiają to arcydzieło ikonoplastyki maryjnej Śląska na poziomie dzieł światowych.

W tym samym czasie, w którym z takim talentem wytwarzają śląscy rzeźbiarze posągi Pięknej Madonny, przychodzi moda na wyobrażenia boleści Najświętszej Maryi Panny, tj. na Pietà. Również wyobrażeń Pietà wyprodukowali rzeźbiarze średniowiecznego Śląska kilka setek. Najwyżej z nich cenione są Pietà z kościoła parafialnego w Świdnicy znacznych rozmiarów, o prześlicznym sfałdowaniu szat i Pietà z kościoła uniwersyteckiego we Wrocławiu, o niezwykle głębokim wyrazie bólu na obliczu Maryi.

Maryjna rzeźba figurowa powtarzać będzie te dwa wzory przez następne wieki, zmieniając jedynie styl wykonania stosownie do panującej mody.

NA zakończenie kilka słów o ołtarzach tryptykowych. Ten typ ołtarzy został zapewne wprowadzony z obawy przed kradzieżą i aby ułatwić ewentualne przenoszenie. Skrzynie tryptyków dawały się zamykać i łatwe były do transportu. Typ ołtarzy tryptykowych bardzo rozpowszechnił się na Śląsku. Często w środkowej części tryptyku występuje Maryja w otoczeniu dwóch świętych, lub w jakiejś scenie ze swego życia. Szczytowymi osiągnięciami w technice ołtarzy tryptykowych na Śląsku są tryptyki przedstawiające zaśnięcie Najśw. Maryi Panny w Świdnicy i w katedrze wrocławskiej (dawniej w Lubinie Legnickim). Obydwa te tryptyki, powtarzające podobnie jak krakowski ołtarz Wita Stwosza, w środkowym obrazie scenę Zaśnięcia Najśw. Maryi Panny, na skrzydłach zaś sceny z życia Maryi, wykonane zostały w warsztatach mistrzów dobrego dłuta i dużych umiejętności. Między prawdopodobnymi datami ich powstania upływa około 70 lat. Wpływa to w dużym stopniu na zbliżenie się tryptyku z katedry wrocławskiej do stylu Odrodzenia. Wyraża się to w stanowiących tło pejzażach i w renesansowych strojach postaci. Tryptyk świdnicki — jeszcze w pełni gotycki — przez niektórych uczonych niemieckich lansowany był jako dzieło Wita Stwosza. Nasi uczeni, przyznając duże podobieństwo tego ołtarza do dzieł Stwosza i jego kręgu, wskazują na nieznanego z nazwiska mistrza Posągu Złotej Maryi ze Zgorzelca jako na autora tryptyku świdnickiego.



„Piękna Madonna"
ok. 1400 r.
Muzeum Narodowe w W-wie

Wspaniałymi tymi tryptykami żegnała Maryja Panna Średniowiecze i gotyk Śląska. Wieki następne, zwłaszcza barok po Soborze Trydenckim dały nie setki, lecz tysiące pozycji ikonograficznych Maryi. Dopiero XIX wiek przyniesie znaczne osłabienie twórczości plastyków na temat Maryi, a nawet prawie pełny jej zanik. Brzydkie, neogotyckie, czerwone kościoły XIX wieku zapełnią się brzydkimi, fabrycznie produkowanymi posągami Maryi z gipsu i oleodrukami scen z życia Maryi. Dziś, gdy wróciła polska plastyka na Śląsk, spoglądamy na naszych mistrzów pędzla i dłuta, oczekując od nich kontynuacji wspaniałej przeszłości ikonoplastycznej Maryi na ziemi Śląskiej.

Andrzej Jochelson

Wszystkie zdjęcia: St. Sadowski

DANIEL-ROPS

Gest i modlitwa

JAK to się dzieje, że najgłębszym poruszeniom naszego ducha towarzyszą gesty czysto fizyczne? Związek łączący z porywami duszy pewne postawy ciała jest tak ścisły, iż wydaje się wprost, że determinuje je nieodparta konieczność. Nie modli się w pełni ten, kto nie składa rąk, nie pochyla się, nie klęka. Wzniesiona dłoń samym obrazem gestu narzuca świadomości natężenie błagania. Dziwnym i wymownym świadectwem potwierdza ludzkość swą potrzebę boskości. Pokłony oddawane ziemi, korzenie się przed siłami przyrody, choć wzbudzają w nas uśmiech, są jakby obrazem tych gestów, w których wypowiada się dusza. Popęd, jaki niezmienny instynkt umieszcza u samych korzeni naszej istoty, pragnie objawiać się poprzez mięśnie i znaki. Jesteśmy — jak uczy teologia — zarazem ciałem i duszą, dlatego modlimy się zarówno z pomocą rąk, ramion i kolan, jak głosem wewnętrznym i słowem. Gest modlitewny tkwi w samym rdzeniu naszej natury.

Ten gest jest wieczny. Właściwie nie należy do żadnej religii z osobna i chrześcijaństwo, które go uświęca, otrzymało go jako prastare dziedzictwo z najgłębszej otchłani wieków i pokoleń. Nawet wtedy, gdy zagubiony w chaosie politeizmu człowiek nie umiał jeszcze wśród wielorakości jej objawień, uznać Istoty Jedynej i Najwyższej, coś w nim miało już jakby z góry jej przeczucie: jego umysł mógł jeszcze błądzić, gest się nie mylił.

Główne gesty modlitewne są dlatego tak podstawowe i ważne, że odnajduje się je zarówno w dawnym Egipcie czy w Grecji bogów, jak w kulcie Mayów czy w łonie buddyzmu. Gesty przodków przetrwały we wszystkich kultach, we wszystkich liturgiach. I czemuż zawdzięczają tę trwałość: uwarunkowaniom budowy naszego szkieletu czy wewnętrznej potrzebie duszy? Jawią się tam właśnie, gdzie to co duchowe staje się cielesnym.

Pierwszym gestem świętym jest gest wzniesionych dłoni. To gest wezwania, znak błagania i hołdu. Tak na freskach z Amarna Akhenaton wyciąga przed oblicze Boże ramię i wierną dłoń. O tym samym mówi Psalmista zwracając się do Jedynego: „niech Ci będzie przyjemną modlitwa moja jak kadzidło, a wzniesione ręce jak ofiara wieczorna!" Ponieważ dusza pragnie Boga, wysławia Go i wzywa, napina się wznoszone ramię i wyciąga ręka jakby dla podniesienia się do Boskich wyżyn. To symbol wzniesienia ducha, ufnej wiary. I tak pewny w swym działaniu, tak skuteczny, że Mojżesz musi trwać w tym geście, kiedy jego wojownicy toczą bój, gdy zaś opuszcza ramiona, jego oddziały natychmiast się cofają. Gest tak bliski sensu nadprzyrodzonego, że zachowuje w chrześcijaństwie charakter uświęcający. To gest wzniesienia.

Mniej wzniosły, nie wykraczający poza zwykły obraz ludzkiej doli, gest złożonych rąk jest gestem błagalnym. Umie przełożyć na swą mowę i wyrazić wszelkie odcienie uczuć, w jakich dusza przyznaje się do swej małości. Ufny pokój serca, co na dnie własnej nicości odnalazło nieskończoną miłość i ukojenie: oto modlitwa majestatycznego kanclerza de Birague, tak jak go w rzeźbie przedstawił Germain Pilon. Niewzruszone trwanie we wierze, przezroczysta jasność duszy, którą wybrał sobie na mieszkanie sam Bóg: oto gesty wszystkich Madonn, zaskoczonych przez tajemnicze Zwiastowanie. Od Fra Angelico po Maurice'a Denis tworzą one galerię nieporównanej poezji. Wykrzywione, załamane, nadzieją mocniejszą od zwątpienia wzniesione ku czarnemu niebu: takie są ręce Magdaleny z obrazu Grünewalda, wcielenia niezachwianej w wierze boleści.

Jeszcze niżej, jeszcze bliżej ziemi, która przyciąga i pochłania, tkwi człowiek, co klęczy i pada na twarz. Tu znajduje wyraz najgłębsza pokora, uznanie nędzy ludzkiej i nieskończonej odległości, dzielącej duszę od Boga. Jak według Listu do Hebrajczyków „ręce opadają", podobnie uginają się i kolana. „Na imię Jezus niech ugina się wszelkie kolano!" Zalecenie Pawłowe zbiega się z właściwym duszy instynktem. Korzyć się padając na kolana to coś więcej niż błagać o pomoc: to unicestwiać się w obliczu niezmiernej Bożej potęgi. Modlitwa nie wykiełkuje w glebie, nie przeoranej osamotnieniem i świętą pokorą.

W muzeum w Grenoble znajduje się zadziwiające płótno Le Sueur'a, w którym artysta jakgdyby postawił sobie za zadanie ukazać te trzy podstawowe gesty modlitwy. Obraz przedstawia ostatnią scenę z pięknej historii Tobiasza, a tak potężna jest w nim sugestia wzlotu i pędu, że można by ją nazwać nadnaturalną. Anioł, dawszy się im poznać, dopiero co opuścił swych przyjaciół: wzbijając się ku niebu, płynie o kilka stóp ponad ziemią. A przed nim — skomponowane uczenie na trójkącie, według zasady „złotej liczby" — trzy postacie bohaterów przygody modlą się w zachwycie. Stary Tobiasz klęczy i wprost przypada do ziemi dotykając jej brodą. Młody wznosi ręce w geście nadludzkiej wdzięczności, a za nim panna młoda, którą przywiódł z dalekiej podróży, stoi ze złożonymi rękoma i na pół zamkniętymi oczyma. Oto zwięzła synteza gestu modlitwy, a raczej tych gestów, które każdy z nas może sam czynić w obliczu Boga, aby Go wzywać, błagać, wyznawać Mu swe uczucie; tych gestów, które towarzyszą naszemu najintymniejszemu duchowemu dialogowi.

Czy to już wszystkie gesty jakie zna nasze ciało i jakimi usiłuje wypowiadać stany duszy? Pozostaje jeszcze inny gest, czy, aby powiedzieć właściwiej, gest istotnie inny, gest modlitwy zbiorowej: ten, który widuje się na freskach katakumb i na starożytnych rzeźbach z czasu Męczenników, wykonywany przez wielu modlących się: jest to gest „Orate fratres", który czyni kapłan, kiedy, zwracając się twarzą ku ludowi, skupia go niejako i jednoczy, aby unieść ku Bogu i ofiarować Panu. Gest rozsuniętych ramion, nieco uniesionych, gest nawskroś chrześcijański, gest przywodzący na myśl serdeczne objęcie w uścisku. Kogo zamyka to objęcie, kogo obejmuje uścisk? Nie próżnię ani czczy symbol, lecz tę niewypowiedzianą rzeczywistość Najwyższej Obecności, która oddaje się tylko duszom złączonym w braterstwie i dla której nie ma modlitwy, jeśli nie jest ona najpierw zjednoczeniem z bliźnim i komunią wspólnoty.

Tłum. Andrzej Odnowa

Jan DOBRACZYŃSKI

Tragedia księdza Cénabre

Mija pięć lat od śmierci Jerzego Bernanosa, a wpływ jego twórczości na współczesną katolicką literaturę światową nie tylko nie maleje, lecz przeciwnie, zdaje się wciąż rosnąć. We wszystkim, co obecnie powstaje w literaturze katolickiej, krytycy odnajdują ziarno problematyki poruszanej przez autora *Pod słońcem szatana*. Banałem stało się już stwierdzanie zależności dzieł Greene'a czy Coccicliego, Estanga czy Langgässera od utworów Bernanosa.

Ale bo też Bernanos był pisarzem, który z genialną przenikliwością umiał sięgnąć w samo jądro problematyki katolickiej. Pisarz, jak o nim mówi Emanuel Mounier, „*nie lubił teologów, ale jego własna teologia była absolutnie bez zarzutu*". Bernanos miał poprzedników w malowaniu świętości, jak choćby Antoniego Fogazzaro, lecz święci Bernanosa nie wychodzili nigdy jak Pietro Maironi — Fogazzara poza ramy doktryny katolickiej. Jeżeli to byli nawet „dziwni" święci, „przerażający" święci, to przecież ich psychika zbudowana była zawsze przy użyciu najlepszych materiałów: doświadczeń świętego Jana Vianney, pism mistycznych świętego Jana od Krzyża i świętej Teresy z Avila, „małej drogi" świętej Teresy od Dzieciątka Jezus.

Bernanos, choć do końca, do ostatniego swego utworu — wstrząsających *Dialogues des Carmelites* — był przede wszystkim malarzem świętości, nie wyczerpał swego pisarstwa na tym problemacie (mimo że niewątpliwie uważał go za najważniejszy w katolicyzmie). Obok świętości interesowały Bernanosa w życiu także jej przeciwieństwa.

Kto jest wrogiem świętego? „*Szatan*" — odpowie pisarz w *Pod słońcem szatana*. Bernanos wie, że „*nie wolno robić" z szatana rywala Boga, coś, niby Zło upersonifikowane, Zło „egzystencjonalne" — jeżeli tak można powiedzieć — przeciwstawne Dobru nieskończonemu i substancjalnemu, którym jest Bóg. To byłby manicheizm. Zło czyste i totalne nie istnieje; nawet w istotach upadłych istnieje dobro: ich wspaniała natura, która wyszła spod rąk Bożych i przetrwała mimo ohydy grzechu i nienawiści*" (O. Joseph de Tonquedec S. J.).

Wprowadzenie do powieści *Pod słońcem szatana* upersonifikowanego kusiciela było jednak nadmiernym uproszczeniem sprawy. Bernanos zdał sobie z czasem z tego sprawę. Szatan wobec niektórych świętych występował w swej własnej postaci. Ale to było najczęściej wtedy, gdy miał do czynienia ze świętymi, których już nie potrafił skusić, więc tylko chciał ich dręczyć. Częściej ukrywał się. Ba, nawet, jak o tym zapewnia Apostoł, udaje „*anioła światłości*" (2 Kor. 11, 14). Pokazując szatana w jego własnej postaci Bernanos zerwał nieco kontakt z realizmem. Usiłował go potem nawiązać i wreszcie w postaci Pana Ouine (tego oui-non z *Nourritures Terrestres)* ujrzeliśmy człowieka, który nie przestając być człowiekiem, jest przecież pełnomocnikiem szatana. W *Monsieur Ouine* — mało zrozumiałym przez krytykę za życia autora, dziś wynoszonym pod niebiosa jako najwspanialsze psychologicznie studium zła, Bernanos pokazał szatana działającego poprzez człowieka.

Równocześnie jednak z tym procesem literackim ukazywania obok świętego Bożego „świętego piekielnego", Bernanos, jak wiemy, wypracował swoją teorię działania szatana w świecie. Podstępem szatana, twierdził w swych utworach publicystycznych, jest mierność. Szatan wie, że zimno znajduje się w jakimś pobliżu gorąca. Tylko letniość jest poza złem i dobrem, a więc jest złem najprawdziwszym. „*Bodaj byś był zimny albo gorący! Ale żeś letni, pocznę cię wyrzucać z ust moich*" (Apok. 3, 15).

Na połowie drogi między szatanem z *Pod słońcem szatana* a panem Ouine spotykamy księdza Cénabre. *Zakłamanie* (w oryginale *L' Imposture)* zostało napisane przez Bernanosa za raz po ukazaniu się *Pod słońcem szatana*, w 1926—1927 r. Powieść tę Bernanos uzupełnił drugą pt. *La Joie*, która stanowi zakończenie historii księdza Cénabre, a równocześnie ma za swą główną bohaterkę Chantal de Clergerie — jedyną ze „świeckich" świętych u Bernanosa. *La Joie*, — otrzymała w 1929 r. tzw. *Prix Fémina*, jedną z najpoważniejszych francuskich nagród literackich, przyznawaną corocznie na podstawie decyzji jury złożonego wyłącznie z kobiet.

Według powszechnej opinii *L'Imposture* uchodzi za najlepiej zbudowaną powieść Bernanosa. Konstrukcja literacka nie stanowiła najsilniejszej strony twórczości autora *Pamiętnika wiejskiego proboszcza*, ale w *Zakłamaniu* mamy zwartość po prostu teatralną, dramatyczność i ekspresję, które porównać można jedynie z najlepszymi utworami Dostojewskiego, Balzaca czy Conrada. Cała powieść to zaledwie cztery sceny — niby cztery akty — o napięciu ani na chwilę nie słabnącym.

Lecz mniejsza o konstrukcję, której walory ocenić może sam czytelnik. Poświęćmy natomiast kilka uwag postaci bohatera — księdza Cénabre.

Powiedzieliśmy, że Cénabre stoi na drodze między szatanem wcielonym z pierwszej powieści Bernanosa a panem Ouine, który będąc „*bohaterem powieści, postacią konsekwentną, żywą i realistyczną, jednocześnie jest samym złem*" (C. E. Magny). Cénabre nie jest szatanem. Jest tylko człowiekiem. Ale ten człowiek przeżył najstraszniejszą katastrofę, jaką można przeżyć: zaprzeczył swemu powołaniu.

Cénabre nie miał powołania na księdza. Wiemy, że został nim ot tak, siłą ciężkości, dlatego, że była to droga, na której — wydawało mu się — będzie mógł zaspokoić ambicje, jakimi żył. Bo wewnętrzną tragedią księdza Cénabre jest jego potworna pycha. Cénabre za wszelką cenę chciał zostać kimś. Jako ksiądz mógł tym kimś zostać. Stanowisko księdza stanowi pewnego rodzaju platformę, z której łatwiej jest wspinać się wyżej.

Ale ksiądz musi być księdzem. Można wykonywać sto zawodów bez przekonania. Nie można być księdzem bez przekonania. I tutaj zaczyna się dramat Cénabre'a. Cénabre musi kłamać. Musi udawać księdza. Więcej: skoro ma być kimś, musi udawać dobrego księdza. Musi udawać świętość.,.

Stworzywszy swą powieść Bernanos napisze potem:

„*Ta książka kosztowała mnie wiele pracy; kiedy ją skończyłem, byłem wstrząśnięty jak po wysiłku nad siły, a po napisaniu ostatniego wiersza jeszcze nie wiedziałem, czy mój Cénabre jest naprawdę kłamcą, czy też nim nie był. Nie wiem tego i dziś, nie przestaję o to pytać siebie. Aby zasłużyć na miano kłamcy, trzeba być całkowicie odpowiedzialnym za swoje kłamstwa... Sądzę, że kłamstwo jest pasożytem, a kłamca — jego ofiarą... Kłamstwo jest czymś najbardziej okrutnym, co człowiek zdołał wymyśleć, by sam siebie torturować... Problem kłamstwa wydaje się najważniejszy, a kto go rozwiąże, będzie miał klucz do rozwiązania wszystkich nieszczęść człowieka... Kłamcą nie jest kabotyn, który wciąż tylko zmienia ubrania. Kłamca i kłamstwo tworzą fatalną jedność. Gdyby tak nie było, kłamca nie broniłby swego kłamstwa równie mocno jak życia...*" (*Les enfants humiliés*).

Te słowa są, jak się nam zdaje, niezbędnym komentarzem dla zrozumienia w pełni postaci Cénabre'a. Bernanos nie chce ostatecznie potępić tego człowieka (jak nie potępi go w powieści). Rozumie jego nędzę, pojmuje, jak straszne niebezpieczeństwo czyha na tych wszystkich, którzy chcieliby porwać niebo, a zapominają, że aby je zdobyć, muszą po drodze stracić siebie. Znakomity psycholog zna nieuchronne „żelazne" prawo upadku. Cénabre skłamał swemu powołaniu: powołaniu kapłana i powołaniu świętości. Pokrył kłamstwo maską teoretycznej wiedzy o świętości. Zamiast walczyć o świętość, ograniczył się do pisania o niej. I dlatego pewnego dnia wspaniały teoretyk i hagiograf będzie musiał uświadomić sobie, że w rzeczywistości — nie wierzy. W księdzu Cénabre jest coś z tragicznych postaci, które, jak o nich mówi J. Maritain:

„*wskutek... wadliwej skłonności w dążeniu do cnót i doskonałości chrześcijańskiej opierają się jedynie na swoich siłach, ufając bardziej własnym wysiłkom niż Łasce*".

Gdyby Cénabre był człowiekiem letnim, jego kłamstwo rozpłynęłoby się w końcu w tej letności tworząc zło, które podminowuje świat, ale którego często nie można dostrzec w życiu poszczególnego człowieka. Ale Cénabre nie jest letnim jak Pernichon czy Espelette. On jest mimo wszystko „gwałtownikiem", materiałem na świętego. Jego pycha mogła by być odwrócona, jak zdobyte działo, którego ogniem razi się uciekającego nieprzyjaciela. Wielkie namiętności są w równej mierze tworzywem świętych i grzeszników.

Niestety! Cénabre woli służyć swej pysze niż pokorze. Pamiętamy, co mówi w swym pierwszym liście (2, 16) św. Jan:

„*Albowiem wszystko co jest na świecie: pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha żywota, nie pochodzą od Ojca...*"

Przeciwstawieniem tych trzech pożądliwości są trzy cnoty: czystość, miłość i pokora. O księdzu Cénabre można powiedzieć na pewno, że nie było w nim pokory, nie szukał jej i nigdy jej nie posiadł.

(*Dokończenie na str. 10*)

Odnaleziony fragment „Monsieur Ouine"

Albert Béguin, który jest sekretarzem Towarzystwa Przyjaciół Georges Bernanosa (istnieje takie towarzystwo w Paryżu — członkami zarządu są: Eugène Manificat, André Rousseau, Luc Estang, Albert Béguin, Gabriel Cordoin) opublikował niedawno nowe odkrycie zagubionego fragmentu twórczości Bernanosa.

„W 1931 r. — pisze Béguin — Bernanos, aby móc pisać „Monsieur Ouine", zarzucił pisanie innej powieści, która w przyszłości miała dać „Un Crime" i „Un mauvais reve". Po raz pierwszy wziął się do „Monsiur Ouine'a" w 1933 i pisał go dość szybko, aż do chwili katastrofy. motocyklowej pod Montbéliard (31 lipca 1933), która uczyniła go już na zawsze kaleką, Gdy tylko zdrowie pozwoliło mu na to, wziął się znowu do pracy. Ale tym razem pisał z wielką trudnością. We wrześniu wspomina o tym w liście do swego przyjaciela, Roberta Vallery-Radot:

„*Już się trzęsę ze strachu na samą myśl, jak ci będę czytał te 200 czy 220 stron całkowicie ukończonych... Ale cokolwiek bym robił nie potrafię wydobyć ze swej nędznej istoty nic lepszego! Pisze się łatwo tylko w marzeniach! Czy siedzę u siebie, czy biegam jak wściekły tu i tam, rezultat jest zawsze jednakowy. Gdy piszę przez tydzień po dwie strony dziennie, w tygodniu następnym tracę to wszystko, z końcem miesiąca mogę się czuć szczęśliwy, jeżeli uda mi się wydobyć ze sterty kartek jakieś trzydzieści żałosnych stron, a jeszcze się powstrzymuję, by z tego nie skreślić trzeciej części, połowy, wreszcie całości, choć tego ode mnie żąda moje sumienie — a może tylko mania czy skrupuł dręczący mnie dniem i nocą.*"

Z początkiem 1934 Bernanos staje się jeszcze większym pesymistą. Widać to z innego listu do tego samego adresata:

„*Moja prześwietna powieść przypomina ponury ustęp. Mam już dosyć tego siusiania wciąż pod tym samym murem. Czy nigdy nie skończę?*

Korekty i adiustacja doprowadzają mnie do rozpaczy. Ledwo potrafię sam siebie czytać.

Posyłam ci maszynopis. Rzuć nań okiem, jeżeli posiadasz dość odwagi..."

„Ale w sierpniu 1934 r. gdy już 150 stron „Monsieur Ouine" zostało przepisanych na maszynie, Bernanos wszedł cały w tworzenie powieści kryminalnej, która miała dać „Un Crime" i „Un mauvais Reve.*) Pracuje jeszcze nad „Monsiuer Ouine", ale niewiele. Kiedy osiadł na Majorce w październiku 1934 roku, należy przypuszczać, że miał już 15 do 19 rozdziałów powieści. Pisze do Maurycego Bourdela:

„*Od czterech miesięcy napisałem 40 stron „Monsieur Ouine". To jest książka właściwie skończona...*"

„Trzeba przecież było sześciu lat aby ją skończyć, dziewięciu lat, by ją wydać w Brazylii, dwunastu — we Francji! Na Majorce Bernanos pracuje z największym wysiłkiem przerabiając „Un Crime", kończąc „Un Mauvais Reve", tworząc „Journal d'un curé de campagne" i „Nouvelle histoire de Mouchette". Pisze do wydawcy 10 listopada:

„*W stosunku do „Monsieur Ouine", którego zacząłem i prawie skończyłem w okresie, który uważam za inną epokę mego życia, proszę pana w interesie wszystkich o nie pilenie mnie. Pracuję nad nim godzinę dziennie. Jest to sprawa tak delikatna, że tylko ja mogę być jej sędzią*".

W grudniu wspomina jeszcze o „ostatnim rozdziale" powieści. Trudności, o których wspomina, nie pochodzą niewątpliwie z zewnątrz. Pocąc się i męcząc doszedł do epizodu końcowego, do agonii Ouine'a i jego rozmowy z młodym Filipem, a więc do sceny chyba najbardziej zuchwałej w całej twórczości Bernanosa. Ten problem całkowitej rozpaczy, obejmującej całe życie duchowe człowieka wymagał mówienia pełnym treści niedopowiedzeniem. Bernanos ostrożnie zbliżał się ku temu codzienną pracą, lękając się, że pośpiech zaszkodziłby powieści i zaciemnił drogi wewnętrznego poznania. Kiedy go naglono przypominał, że pewien „ekspert" literacki przeczytawszy pierwsze rozdziały książki, uznał je za całkowicie niezrozumiałe. Pisał także do Vallerego-Radot z końcem 1934 roku:

„*Pragnę móc skończyć „Monsieur Ouine", wprowadzając do niego zmiany, które uważam za niezbędne, aby uniknąć w miarę sił zarzutu niezrozumiałości, sformułowanego przez pewnych ludzi. „Monsieur Ouine" jest najlepszą moją książką, najbardziej skończoną. Zgodziłbym się być skazanym na prace przymusowe, żeby mi tylko pozwolono marzyć spokojnie o tej powieści*".

W tym samym czasie pisząc do Ramona Fernandez mówi mu o drugiej swojej powieści, która jest „*w swoim rodzaju nowa, lecz w tonie poprzednich*". W liście do Maurycego Bourdel w lutym 1935 roku nazywa „La paroisse morte" (pierwotny tytuł „Monsiuer Ouine'a) — „*największym wysiłkiem mego pisarskiego żywota*". Obiecuje jeszcze w tym roku w kwietniu 1935 roku skończyć „*moją wielką powieść „Monsieur Ouine*" i powtarza 10 maja, że została już ona *właściwie skończona*". W sierpniu zapowiada opublikowanie jej w 1936 roku. Jednakże część powieści napisana na Majorce liczyła zaledwie 80 stron rękopisu.., Brakowało jeszcze rozdziału końcowego, a pewne oznaki wskazywały na to, że zmęczenie lat ostatnich przeszkadzało Bernanosowi do podjęcia pracy nad zharmonizowaniem części napisanych w rozmaitym czasie. Dopiero podczas pierwszej zimy wojennej przystąpił do pracy nad zredagowaniem trudnego dialogu, którym kończy się powieść. Rzecz można sprecyzować: skończył pisać 10 maja 1940 roku i przesłał natychmiast rękopis do „Plonu"... mając nadzieję, że powieść niezwłocznie się ukaże. Los wojny zdecydował inaczej, a przy tym ponieśliśmy jeszcze jedną stratę, ponieważ ten ostatni rozdział, tak ważny, doszedł do nas w wersji uszkodzonej".

„Bernanos wydał swoją powieść 1943 roku.., To wydanie opierało się na maszynopisie przywiezionym z Francji, niepełnym jeśli chodzi o redakcję ostatniego rozdziału..."

„Dopiero w zeszytach odnalezionych w Brazylii udało mi się odnaleźć pokreślony brulion piętnastu stronic, których brak w wersji wydrukowanej... Scena końcowa pomiędzy młodym Filipem-Steeny i umierającym Ouine'm nabiera jasności i znaczenia dzięki odkryciu tego zeszytu... Bernanos musiał go po prostu zagubić w roku 1943 i, zajęty wieloma innymi sprawami, zrezygnował z wypełnienia tej luki, Rozmowa końcowa rozwija się brutalnie, można ją jednak zrozumieć...

W ten sposób wolno kompletuje się literacka scheda Bernanosa, w której, jak twierdzą jego przyjaciele, jest jeszcze wiele tajemnic do odkrycia. „Monsieur Ouine", powieść nie tłumaczona nigdy na język polski, uznana w pierwszej chwili przez krytykę za niezrozumiałą, na tle studiów nad całokształtem twórczości pisarza, nabiera specyficznego znaczenia jako najbardziej wnikliwa analiza zła w człowieku. Ale „Monsieur Ouine" jest nie tylko ciekawy jako powieść. Dzięki zainteresowaniu się książką poznaliśmy bliżej tajemnicę twórczości pisarza, więcej nawet, poznaliśmy wiele tajemnic jego duszy, a te odkrycia sprawiają, że Towarzystwo Przyjaciół Bernanosa rozpoczęło ostatnio starania wszczęcia prac mających na celu beatyfikację pisarza...

M. D. Dobraczyńska

*) Omawia to J. Dobraczyński w „Gwałtownikach".

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (25)

Zobowiązuje miara naszych czasów

W rozmowie, której powtórzenie lub raczej odtworzenie na tym miejscu uważam nie tylko za możliwe, lecz także za pożyteczne, bierze udział trzech miłośników pięknej sztuki pisania. Każdy z nich kocha tę sztukę w sposób odmienny, bo każdy trochę inaczej ją pojmuje, trochę inne wyznacza jej prawa, obowiązki i przywileje. Wszyscy kochają ją szczerze. Tak przynajmniej twierdzi każdy z nich. Ponieważ nie ma żadnej szansy sprawdzenia stopnia tej szczerości, poprzestać wypada na badaniu logiczności i prawdziwości społecznej wypowiadanych przez rozmówców twierdzeń, czy sugestii.

Dla uniknięcia nieporozumień i możliwie dokładnego rozumienia zarówno intencji, jak i merytorycznego sensu postawionych w tej rozmowie tez, pomocna może być choćby szkicowa charakterystyka rozmówców.

Wiktor jest starszym człowiekiem o dużej kulturze literackiej. Cechuje go wielka wstrzemięźliwość sądu, cicha łagodność w formułowaniu twierdzeń, które woli nazywać sugestiami lub wrażeniami. Nie mówi: „powiem, że...", lecz ostrożniej „powiedziałbym, iż..." Lubi kolory pastelowe, nie mile są mu jaskrawe afisze. Wraca często do Prousta, zna na pamięć mnóstwo z Apolinaire'a, gości swoich częstuje reprodukcjami Pissara, poezję polską XX stulecia streścilby do Czechowicza.

Leonard jest taki jak jego imię. Dziwny i trochę pretensjonalny. Jest w nim jednoczesna zgoda na dwie przeciwstawne tezy. Nie wynika to z uproszczonej dialektyki układania się ze światem, lecz raczej ze specjalnego traktowania świata jako masy wędrujących samopas fenomenów. Miarą ważności zjawiska jest jego potencjalna finezyjność, skala błyskotliwości, zdolność egzotycznego rozkwitnięcia w paradoksie. Zmysłowa niemal skłonność ku paradoksom wydaje się u niego formą trochę sperwersowanego głodu poznania. Chłonny jest jak gąbka i z całą swoją dużą, choć nieusystematyzowaną, wiedzą, powagą oraz czterdziestoparoletnim zasobem doświadczeń żyje wśród złożoności naszego świata bez trosko jak młody psiak.

Klemens to antyteza swego imienia. Nie ma w nim nic z pastelowej łagodności Wiktora, czy beztroski Leonarda. Piękną sztukę pisania ukochał miłością cierpką i czasami nienawistną. Mądrość szukania prawdy pośrodku dekonspiruje zajadle w innych i w samym sobie jako skłonność do moralnego nobilitowania wygodnictwa, kompromisu i lęku przed błędem, który jego zdaniem jest koniecznością w szukaniu prawdy o świecie. Świat przeżywa jednakowo silnie czubkiem palców, końcem nosa, jak i zwojami kory mózgowej. Jeszcze obca mu jest umiejętność koniecznego dzielenia siebie na podmiot i przedmiot, chociaż zdobył już gorzką wiedzę o potrzebie odrzucania rzeczy istniejących tylko w jego wyobraźni. Do tego wszystkiego trzeba dodać bolący samego Klemensa brak wyrozumiałości, której Klemens nie chce się nauczyć, wietrząc w niej to, czego się bardzo boi i czym się chyba szczerze brzydzi: letniość. Wyrozumiale uśmiecha się tylko wtedy, kiedy mu nie bez racji powiadają, że zbyt uwarunkowany jest własną młodością i pasją przeżywania wszystkiego całym sobą.

Tacy są mniej więcej Wiktor, Leonard i Klemens. Rozmowa, do której ta charakterystyka jest wprowadzeniem zaczęła się — jak zwykle — od rzeczy błahej. Poszło o niebezpieczeństwo ułatwionych startów, o konieczność krytyki bezkompromisowej. Jak zwykle sproblemizował ją i zaostrzył Klemens. Oto możliwie wierny stenogram.

KLEMENS: Bzdury, moi mili. Wiktor ciągle musi klamkę naciskać jednym paluszkiem i to tym małym i to delikatnie, a Leonard probuje to porny, skoblowy zamek otwierać kluczykiem od „Yale". Zanadto się z debiutantami cacka szarmancka brać krytyczno-literacka. Sprawę debiutów trzeba omawiać głosem podniesionym. Książkę kłaść trzeba na szalę wagi troskliwego pediatry, który bada, czy noworodek jest zdrowy, czy cherlawy. Wy książkę ważycie po aptekarsku, tu uncja, tam uncja, tak, że znika prawda o dzieciaku. Zdrowe czy cherlawe, normalne czy poronione? To są pytania postawione z właściwą wyrazistością.

LEONARD: Rzeczywiście, wyrazistości tym pytaniom nie można od mówić. Wyrazistość jednak zaciera prawdę szczegółu. Szczegół jest ważny. Detali nie wolno lekceważyć. W detalu jest prawda całości. Całość jest sumą detali. Suma u ciebie jest różnicą. Źle liczysz. Twoja tabliczka mnożenia przez to jest groźna, że zbyt wyrazista, zbyt jasna, zbyt przekonująca. Powinieneś ją zlogarytmizować. A jeśli chodzi o analogię z otwieraniem drzwi, to ty wywalasz drzwi otwarte. Wywalanie drzwi otwartych to piękna misja uświadamiania nieuświadomionych oczywistości. To powinno...

KLEMENS *(z niebezpiecznym spokojem, przez zęby)*: Przestań.

WIKTOR: Spokojnie, spokojnie. Tak nie można. Prawda zjawisk literackich nie jest czarno-biała. Powiedziałbym, że nie jest nawet prawdą siedmiu kolorów podstawowych. Każdy odcień, każda tonacja barwy zamyka część istotną, niezbędną, konieczną w rekonstrukcji poznawczej. Prawda leży...

KLEMENS: *(przez zęby)* ... po środku.

WIKTOR *(z rafaelowskim uśmiechem)*: ... po środku.

KLEMENS: Pępek masz po środku. Rozumiesz? Pępek.

WIKTOR *(do Leonarda)*: Powiedz Klemensowi, że nie rozumiem analogii z pępkiem. Mówi ona więcej o Klemensie niż o prawdzie. I zapytaj go, czy pozwoli, bym mówił dalej.

KLEMENS *(do Leonarda z maksymalną uprzejmością)*: Pozwalam, proszę bardzo. To nieslychanie odkrywcze i ciekawe. Jestem jednym wielkim uchem.

WIKTOR: W uchu jest narząd zwany błędnikiem. Służy do zachowania równowagi. Są stany hamujące funkcjonowanie błędnika. Na przykład: nieumiejętność widzenia rzeczy w ich perspektywie. Dostrzeganie prawdy jest sprawą właściwych perspektyw.

O co nam chodzi? O właściwe patrzenie na debiuty. Postuluje się troskliwość w pochyleniu nad młodym talentem. Z drugiej strony konieczna jest surowa pedagogika osądu. Pobłażliwość jest rzeczą złą. Brutalna ostrość jest rzeczą złą. Jedyne co pozostaje to mądry umiar bilansu, mądre stawianie pytajnika, wstrzemięźliwość i spokój.

LEONARD: W osądzie debiutu zawarta jest urzekająca sprzeczność. Nie można wiele wymagać, bo młody i początkujący. Trzeba wiele wymagać, bo młody i początkujący. Nie można zrażać. Trzeba zrażać. Obydwaj macie rację.

KLEMENS: Żaden z was nie ma racji. Ale chcecie, żebym mówił spokojnie? Dobrze. Będę mówił spokojnie. I konkretnie, chociaż tego nie lubicie.

Weźmy dla przykładu debiut powieściowy Łepkowskiego.*) Utalentowany poeta, podobno i utalentowany malarz, autor ciekawych, chociaż kiteryjnie estetyzujących wierszy, wydał pierwszą książkę. Włożył w nią on i wydawnictwo kupę pracy. Rzecz idzie w świat. Ma do spełnienia jakąś rolę.

Zgrzeszmy adamizmem. Trzeba zacząć od wstępnych ustaleń. W jaki idzie świat? Jaką ma spełnić rolę? Bez tych ustaleń nie ma realnego i sprawiedliwego osądu. Bądźmy konkretni. Książkę wydało wydawnictwo katolickie. Wydało ją anno Domini 1952. Wiadomo, co to jest „Pax". Wiadomo, jaki raban podnosiło się u nas po wojnie na temat wielkich zadań współczesnej powieści katolickiej. Wiadomo, że wymagano od niej — i słusznie — dużego, najogól niej mówiąc, ładunku problemowego, dużej wnikliwości i żarliwości poznawczej, dużej pasji intelektualnego tłumaczenia zjawisk naszej epoki zgodnie z wymaganiami sztuki i wymaganiami naszego światopoglądu.

LEONARD: Konkretniej, mój drogi, konkretniej. Zamiast mocnych słów używaj słów trafnych. Staraj się poddać wyrokowi własnej precyzji, a nie urokowi naszej pozornej klęski. Zwyciężysz nas, gdy pokonasz siebie.

KLEMENS: Dobrze, postaram się precyzyjniej. W dalszym ciągu będę się posługiwał przykładem „Ludzie znad zatoki".

Książkę tą należy skonfrontować z sumą wymagań, jakie przed każdą katolicką powieścią współczesną stawiają konkretne potrzeby naszego czasu. Wynik tej konfrontacji należy sformułować maksymalnie wyraziście, bo

po pierwsze — zagadnienie współczesnego pisarstwa katolickiego w Polsce Ludowej jest dla nas, katolików, zagadnieniem niesłychanie ważnym i nie znoszącym zbędnych niedomówień,

po drugie — w naszej sytuacji musimy być dla siebie znacznie surowsi, niż w jakimkolwiek innym układzie sił,

po trzecie — debiutantów należy poddawać specjalnie trudnemu egzaminowi, ze szczególną pasją wykrywać wszelkie ułatwienia, bo falstart dyskwalifikuje zawodnika, bo czym skorupka za młodu nasiąknie, bo „młodość rzeźbiarką żywota", bo diabli biorą kiedy...

WIKTOR: Bądź tak dobry, Klemensie, i zostaw diabłów w spokoju. One mają i tak dużo zajęć. Mów raczej o Łepkowskim. Jaki jest wynik konfrontacji jego książki, z sumą wymagań, których każdorazową realizację uważasz za konieczną?

KLEMENS: Nie ja uważam ją za konieczną, ale ona j e s t konieczna. Sumę tych wymagań można, jak w znaku algebraicznym, zamknąć w postulacie problemowego widzenia i artystycznego ukazywania przyczyn i skutków oraz wewnętrznych związków między rzeczami. Po prostu — widzenia dynamiki zjawisk, a nie statycznego układu plam barwnych.

Książka Łepkowskiego nie realizuje tych wymagań. Dlatego jest niebezpiecznym debiutem, debiutem przegranym, który należało ocenić jako unik przed historią, jako — być może nieświadomą — próbę obejścia nakazu spotykania się twarzą w twarz z rzeczywistością. Trzeba było chwycić byka za rogi. Tego się spodziewamy po każdej książce, która chce być dobrą książką. Łepkowski usiłuje udobruchać byka, przedstawić go jako malowankę. Gładzi go po rogach i powiada: Patrzcie, jakie ładne rogi, jak ślicznie gra na nich światłocieniem pogodny świt nadmorski. Patrzcie, jak ładnie wam opisuje te rogi, ich polerowana, twarda jak stal, a lekka w wygięciu, jak ucho korynckiego dzbana krzywizne. No i ludziska patrzą i mówią: Rzeczywiście, jakie ładne rogi, rzeczywiście, ten młodzieniec ładnie opisuje rogi. A gdy ja pomyślę co by się stało, gdyby tak byk wyrżnął rogiem w biureczko palisandrowe i w młodzieńca, który ładnie pisze o kolorze rogów byka... Ale ten byk nie wyrżnie. Ten byk jest z płótna Lasockiego.

LEONARD: Metafora jest unikiem intelektualnym. Unik jest tylko defenzywą. Atakując, cofasz się. Atak wymaga broni użytecznej. Literacka metafora to miecz o dwóch ostrzach. Ale pozostaje rozkosz dwuznaczności. Chyba jednak lepiej...

WIKTOR: Tak, zejdź z tego byka, Klemensie. Literatura to nie cyrk. Pisarz to nie torreador.

KLEMENS: Już schodzę, dobry wujaszku, już schodzę. Oto stoję na twardej ziemi.

Mam w konkretnym wypadku żal do krytyki literackiej o to, że w debiucie Łepkowskiego nie wykazała przede wszystkim niebezpiecznej powierzchowności jego widzenia zjawisk, niebezpiecznej naskórkowości jego przeżywania problemów, niebezpiecznej redukcji dzieła literackiego do ładnego pejzażu czy portretu, do miłej opowiastki, do poetyckiego szkicownika historii takiej, jaka zapisuje się na siatkówce wrażliwego oka, a nie takiej, jaka zapisuje się w zwojach kory mózgowej, żeby już nie drażnić was metaforą i nie powiedzieć: na karcie wrażliwego serca.

Oczywiście, pisało się o tym, ale bąknięciami, ale niemal między wierszami.

Odnotowano gdzieś na boczku, że „w książce mamy do czynienia prawie wyłącznie z rezultatami, przyczyny i rozwój wydarzeń zostają poza zasięgiem naszego wzroku". Domyślano się uprzejmie, że „procesy duchowych przeobrażeń bohaterów odbywają się gdzieś między rozdziałami". Podpowiadano nawet za autora, że „poza wycinkiem rzeczywistości pokazanym w książce działa również mechanizm wydarzeń politycznych, pchających naprzód akcję powieści."**) Niepokojący jest ten nadmiar domyślności, nadmiar wyrozumiałości i taktu. Poprzesuwano tu akcenty. Prawda o dziele zabrzmiała fałszywie. Nie wybito na czoło błędnego, bo naskórkowego widzenia rzeczywistości. Odnotowano go tylko na marginesie pochwały ładnosłowizmu. I to jest źle. To uważam za błąd. O tym trzeba mówić podniesionym głosem. W tym tkwi istota problemu.

WIKTOR: Powiedziałbym, iż zdaje mi się, że zaczynam cię rozumieć. Chodzi ci o brak pasji poznawczej w ukazywaniu korzeni opisywanych zjawisk, w tłumaczeniu sprężyn działania poszczególnych osób, czy podstaw działania się poszczególnych procesów. Skłonny jestem twierdzić, że nie masz racji. To nie znaczy, że sądzę, iż Łepkowski realizuje wymagania, w których bezdyskusyjność nie wątpisz. Nie, to znaczy po prostu, że ja właśnie uważam te wymagania za przedmiot dyskusji. I znowu nie ich słuszność. Bo są słuszne. Ale ich, powiedziałbym, totalistyczną powszechność. Wydaje mi się, że są pisarze i pisarze. Banał? Oczywiście, że banał. Najchętniej zapominany o prawdach banalnych.

Są pisarze i pisarze. Klimat psychiczny, tradycje, typ talentu, całe, że tak powiem, wyposażenie duchowe — to coś, z czym trzeba się liczyć. Łepkowski pisze po malarsku. Taki jest rodzaj jego talentu. Naturalnie, obowiązuje świadomość. Talentyzm jest przeżytym mitem. Ale różnorakość gatunkowa talentów jest prawdą. Nie można od każdego wymagać, żeby był Balzakiem i pisał od razu „Komedię ludzką", czy żeby był Szołochowem i dawał nam „Cichy Don".

Trzeba rozumieć różne skale talentu. Trzeba przede wszystkim uznać prawo twórcy do samego siebie. Trzeba uszanować to prawo i cieszyć się uwarunkowanym przez nie dziełem sztuki. Między innymi dzięki temu prawu sztuka jest niezmierzona w swoim bogactwie, nieskończona w swoim rozwoju. Chcesz jakoś z wzcić to prawo, chcesz je może podważyć. I w tym tkwi twój błąd.

LEONARD: Straszny błąd. Urzekający w swoim barbarzyńskim okrucieństwie, ale straszny. Kannibal ante portas. Wielorakość jest radością świata. Kultura jest wielobarwna. Człowiek ma prawo do tęczy. Pozwólmy pisarzom ocalać ich błędy. W błędach pisarzy tkwi potencjał wielkiej ewolucji. Stwórzmy pisarzom doskonałe warunki do popełniania błędów. Akademia pisarzy zbłąkanych. Szacunek dla błędu jako eliksiru młodości literatury. Wiktor ma rację.

KLEMENS: Spokojnie, panowie, spokojnie. Powiedzieliście parę rzeczy od rzeczy, pozwólcie powiedzieć parę rzeczy do rzeczy. Nie udawajmy, że się nie rozumiemy.

Nikt nie chce przekreślać prawa twórcy do samego siebie. Nikt nie chce walczyć z wielorakością gatunkową talentu. Gleichmacherei — to głupia i paskudna rzecz. Wolałbym rękę w ogień wsadzić, niż napisać słowo przeciw pisarzom, którzy wzbogacają literaturę o siebie. To byłby już nie wandalizm ale po prostu idiotyzm. Dobrze wiecie, że nie o to chodzi.

Chodzi o obowiązek pisarza wobec czasu, w którym żyje. Tym obowiązkiem jest świadczyć dziełem artystycznym prawdzie tego czasu. Pisarz musi tę prawdę znać. Musi ją rozumieć. Jego dzieło musi być dążeniem do rozumienia tej prawdy. Dopiero, gdy ją rozumie, gdy domaca się korzeni, może pisać. Nie musi pisać „Komedii Ludzkiej" czy „Cichego Donu". Może pisać o sklepikarce z ulicy Wronej, robotniku z Katowic, czy profesorze z Krakowa. Ale w każdym zamierzeniu pisarskim musi być pasja docierania do korzeni. Bez tej pasji nie ma dzisiaj pisarza.

Powiadacie: „wyposażenie duchowe". Pewnie! Istnieje w nas miara nas samych. Ale wielkość nasza w możliwości przekraczania tej miary. A wielkość epoki, w której żyjemy, jej siła i dramatyczność w tym, że jest ona nakazem przekraczania tej miary. Musimy przekraczać miarę nas samych. My, a cóż dopiero pisarze. Pisarzy przede wszystkim zobowiązuje miara naszych czasów. Wiele rzeczy trzeba w sobie przełamać. Wiele wyrwać zupełnie, ale nie ma w tym nic z palenia biblioteki aleksandryjskiej, nic z całopalenia ofiarnego, nic z płonącego łoża Sardanapala, jest natomiast wiele z hartowania stali ogniem. Trudno, bez metafory nie ujadę. Czasy, które idą nie są oranżerią dla mimozowatych roślin. Trzeba ludzi o zacisniętych zębach, pisarzy o piórach mocnych, o oczach dalekowidzących, o głowach, w których trzeszczy od myślenia.

LEONARD: Patos siły. Konieczność wyrzeczenia, które jest przywróceniem siebie sobie. Nowy mnożnik człowieczeństwa. Inny wymiar ludzkości. W tym jest coś z haszyszu. To jest wielka prawda. Klemens ma rację.

KLEMENS: Że też ty musisz wszystko przyjmować z radosnym merdaniem. Morfinizujesz słowa swoją egzaltacją, a zatrzaśnij się jak oczadziałe. Jesteś inteligenckí podskakiewicz. I przestań wreszcie piać.

Ale ty, Wiktorze, chyba rozumiesz? Nie chodzi o łatwe przewek-

(Dokończenie na str. 9)

JAN GÓRSKI

Tryptyk

DEDYKACJA

O, jakże trwożny byłem w ciemnym lesie
ksiąg, co szumiały swą dziewiczą mową!
I jakże często przerażali we śnie
ci, których twoje wywołało słowo.

Elektrycznością iskrzących się drutów
parzyła palce ich wielkość złowroga:
słonej pustyni oddechem zatruty
Świat — opuszczony przez smutnego Boga.

Wieczór już nawet dymu nie porusza,
w nieba i rzeki magnetycznym lśnieniu
ptak słodko śpiewa, jak wiersz Wergiliusza.
Przeszłość spalona. Oddana wspomnieniu.

Mój mistrzu, mówią mi o tobie echa,
jak oklaskami rozbudzone dłonie
za widnokręgiem — w burzy i uśmiechach
młodości, której jeszcze dotąd bronię.

CZTERY ZWROTKI

Cienie się wznoszą,
jak dym z ogniska.
Mewy wzlatują
nad białym piaskiem.
Fale przynoszą
cienie i ptaki.
Ziemia oddaje
falom — urwiska.

Od krzywych sosen
i żółtych ścieżek
oczy przedziela
zielona szyba.
W maleńkim porcie,
w pustym miasteczku
okręt wypłynął,
jak martwa ryba.

Na piasku leżą
brązowe bożki.
Wachlarze słońca
wypadły z dłoni.
Światło rozpięło
trójkąty żagli.
Tęskny marynarz
gra na harmonii.

Zamknięte w kuli
inne okręty.
Na cienkich nitkach
wyspy je wiodą.
Skrzepło pod czułą
dłonią kompasu
westchnienie lądu:
obłok nad wodą.

PIOSENKA

Od ust daleko
przelatujący ptak,
a jednak miękko
na liniach zrzutu
rozkwita, jak w nutach,
i żal i brak.

Domków archipelag,
metalu chłód.
Słońce o złotych skrzelach
pluska się w szybach.
Nie zapomniałaś chyba?
Szyny tramwaju, jak lód.

W śpiewie kukułki pachnie
parujący deszcz.
Liściom twej ręki braknie.
Zapalają się kina.
Niebo, jak okaryna,
sączy się w zmierzch.

Antyfona

Ptak na misternie splątanych
gałązkach zawieszony
i kolumna obcięta
pilnują słów antyfony.

Dzwonią pod palcami
liter wysmukłe lutnie,
stronic otwarte wnętrza:
obłok, złoto i tęcza.

Obłok się otworzył
i w zwiastowanych tonach
najpokorniejszy kształt dźwięku
pełznie: biedronka czerwona.

Czerń gminu, purpura królów
z najczulszych klerka wyczuleń,
to, co w brewiarzu otwiera
antyfonę — litera.

MÓWI MNICH:
Po Zwiastowaniu Anielskim
różowe niebo ochłodło.
O, cieniu, bukowy cieniu,
o, czarna za oknem jodło!

Upałem znużone trzody
zstępują w dolinę — nad źródło.
O, łaski pełna godzino,
gdy żebrak odrzuca szczudło.

Jagnięta zasypiają
pod wierną dłonią pastucha.
Noc skrzydła ogrzewa ptakom.
O, duszo, jak trawy źdźbło krucha!

MÓWI ANIOŁ:
Ludzie cisi, w oknach schyleni
oglądają małego Jezusa.
Pociąg gwiżdże, wodospad mówi,
liliowieje ku wieczorowi.
Gołąb pióro w przelocie gubi.

Jak obłoki śpią małe owieczki.
Do wody schodzą pasterze.
Dzwon kościelny z dymami wioski
niebu — góry oddaję w ofierze.
Jeśli mówić chcesz, od nich weź głoski.

Stanisław ZYGLICH

ZACHĘTA

(artykuł



Pośród pięknych i głębokich wierszy Jerzego Lieberta jest taki nie najpiękniejszy i nie specjalnie głęboki wierszyk, w którym poeta mówi:

Miło jest, przyjacielu, wyjechać wiosną
Porzucić wszystkie nauki i tomy przeróżnych książek...

Tak dobrze iść z odkrytą głową i mieć włosy zaprószone niebem
To może największe szczęście.
Ja wiem dobrze, przyjacielu, że dla Ciebie
Druty i domy są złe, męczący jest pobyt w mieście.

Rzućmy miasto. Porzućmy zajęcia wszystkie:
Ty — foliały naukowych ksiąg, teksty łacińskie,
Ja — moje powieści niedokończone, Platona i Chestertona.
Pójdź, zobaczymy, czy naprawdę jaskółki,
Barwione są barwą nieba.

Przyjacielu, wyjechać daleko, uciekać trzeba.

Z krytycznego punktu widzenia można to i owo temu wierszowi zarzucić, ale machnijmy na to ręką, bo nie o to dzisiaj chodzi. Sens cytowania tego utworu tkwi w ożywionej i urealnionej piękną pogodą dojrzałego lata pokusie. Wiersz się nazywa „Zachęta do ucieczki" i zachętą do ucieczki chce być ten artykuł.

Oczywiście, nie do ucieczki od rzeczywistości lecz — w rzeczywistość. W rzeczywistość — leśnołączną, ptasiokwitną, drzewnozwierzęcą, w rzeczywistość pustułek czy mysikrólika, dzikich gęsi czy perkoza dwuczubego, dudka vel wudwudka, w bogatą krainę kulika wielkiego.

Pewien poeta współczesny z nazwiska bardzo podobny do Mickiewicza, gdy jest zmęczony stosuje nader dziwne metody odprężenia. W jednym ze swoich poematów uchyla rąbka tajemnicy i powiada:

Chcąc odpocząć, nabrać werwy
Uspokoić wątłe nerwy,
Siadłem, skromny gość przy winku,
Na wytwornym raz dancingu.

Zostawmy go. Idźmy za Liebertem. Na publicystyczne wakacje czy choćby... wagary.

Jeśli jeszcze (lub już) nie możemy wybrać się w pejzaż trójwymiarowy, z prawdziwą trawą, prawdziwym stawem, żab kumkaniem, z prawdziwym lasem i świergotem ptaków, z prawdziwą wiechą płomienną prawdziwej wiewiórki — to trudno, ucieszmy się wędrówką na niby, wybierzmy się z wielkim łowczym Włodzimierzem Puchalskim na łowy bezkrwawe*):

Nie on pierwszy nas na taką wędrówkę zaprasza. Ci, których trawa interesuje nie tylko jako pasza dla koni, węże nie tylko jako coś, z czego można zrobić pantofelki, jelenie nie tylko jako pieczone combry in spe, zające nie tylko jako skaczące pasztety — ci na pewno mają na swoich półkach bibliotecznych książki, którym zawdzięcza się wiele wycieczek, przeżyć radosnych i odkrywczych, ukazujących wśród źdźbeł trawy i komyszy leśnych nowy, wspaniały świat.

Pamiętamy na pewno daleką podróż w krainę śmiesznych, smokingowo wystrojonych ptaków, które — mądre i dowcipne — drażniły nas swoim nadmiernym przywiązaniem do konwenansu towarzyskiego, nakazującego skazać na potępienie i banicję jednego z nich tylko za to, że włożył smoking innego koloru.[1])

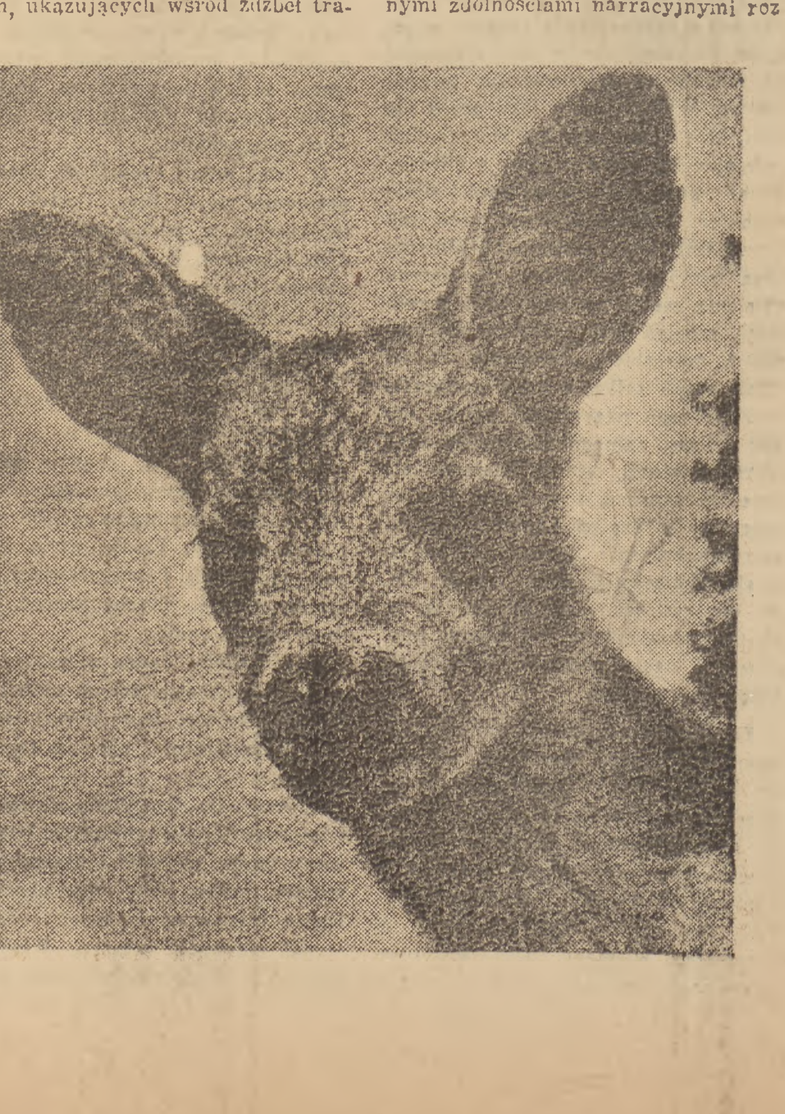
Pamiętamy godziny pochylenia nad zmyślną, choć syzyfową pracą poświętnika czczonego, którego oficjalne nazwisko brzmi „Sacer scarabeus", a który chociaż niby święty, drań bywał czasami[2]). Pamiętamy inteligentny manewr korzenia pewnego kwiatka, który natrafiwszy w ziemi przeszkodę pozornie nie do przebycia, bo twardą zelówkę skórzaną, rozszczepił się tak, by drobnymi włókienkami przejść przez dziurki od kołeczków szewskich, a później znowu złączyć własne nitki w jedno[3]).

Pamiętamy wspomnienia o zwierzętach z lasu dziewiczego, które przywiózł nam z puszcz dalekich podróżnik osiadły wreszcie na stałe w przerzedzonej kniei Puszczykowa. [4]) Może komuś z nas wpadły w rękę świetne fotografie cudów natury robione także przez Fiedlera, ale nie z Puszczykowa tylko z Lipska i nie Arkadego a Georga?[5]) A Spangenberg?[6]) A Skriebicki?) A przebogaty Priszwin?[8])

WŁODZIMIERZ PUCHALSKI nie pierwszy nas zaprasza na ciekawą wędrówkę po krainie niedostrzeżonych dziwów. Ale jego zaproszenie chętnie przyjąć należy, bo wiele zobaczyć będziemy mogli.

Puchalski umie pokazać. Zna świat, który pokazuje. Wiedza przyrodnika i erudycja zoologa nie jest przeładowana obcymi terminami, nie gmatwa się w opisach spraw w danej sytuacji wtórnych, czy w ogóle nieistotnych, ale obdarza wszystkich wyjaśnieniami prostymi, niezbędnymi, podanymi w sposób maksymalnie przejrzysty, łatwy, dowcipny i miły

Puchalski umie pisać. Tekst jego książki, chociaż nie jest w niej — przyznajmy to z okrutną szczerością — rzeczą najważniejszą, jest tekstem bardzo dobrym. Lektura „Bezkrwawych łowów" jest gawędą z miłym, doświadczonym i obdarzonym świetnymi zdolnościami narracyjnymi roz



DO UCIECZKI

wakacyjny)

mówcą. Bo Puchalski jednocześnie przeżywa swoje relacje. Przebija z nich ton ciepłego uczucia dla jego a zarazem i naszych jaskółek, czajek, czy nawet ponurych sów.

Zbanalizowany slogan o miłości dla przyrody odżywa tu oryginalną, nową, prawdziwą treścią. Wtapia się w nią żarliwa pasja poznawcza badacza, który nie żałuje bezsennych nocy, utytłanych w błotku przybrzeżnym dni, zmierzchów rozbrzęczanych kąśliwymi komarami, czy poranków przenikających wilgocią opadłych mgieł, nie żałuje żadnego trudu, aby uchwycić jeszcze jedną tajemnicę ciekawego życia perkoza dwuczubego, czy wielkiego kulika.

Ale — co tu gadać! „Bezkrwawe łowy" to nie tylko książka świetnego znawcy przyrody, wybitnego zoologa, doskonałego narratora, czy wielkiego miłośnika natury, to także — jeśli nie przede wszystkim — album doskonałego artysty — fotografa.

Tu trzeba zastosować metodę naszych sprawozdawców sportowych Polskiego Radia: Proszę Państwa, tego się nie da opisać, to trzeba zobaczyć. Proszę Państwa, jaka szkoda, że Państwo tego nie widzą!

Jedynym rzetelnym sposobem recenzowania książki Puchalskiego jako utworu artysty-fotografa byłoby zamieszczenie dużego wyboru jego zdjęć. Ponieważ jednak to, co piszę nie jest recenzją, lecz takimi sobie dywakacjami krytyka, wolno mi chyba powykrzykiwać trochę na temat tych zdjęć.

Ileż tam dowcipu i ciepła! Ileż uczłowieczenia zwierzaków, ile dla nich sympatii a czasami lekkiej ironii, na przykład wobec takiego napuszonego ptaszyska, jak sowa. A jednocześnie ileż autentyczności i prawdy i życia! Gdyby Leśmian oglądał ten album, powiedziałby chyba, że orły się tu orlą, czajki — czajczą, sarna — sarnieje, a lis rozlisia w w pełni.

Zdjęciom tym nie można się dosyć napatrzeć. Wraca się do nich jak do fotografii miłych znajomych. Ba! Znam takich, którzy powiększenia pewnych ujęć wieszają nad biurkiem. Może trochę przesadzają, może za mało mają twórczego snobizmu kultu ralnego, ale kto dobrze nie tylko wczyta się, ale i wpatrzy w książkę Puchalskiego, znajdzie w sobie wyrozumiałość dla takiej przesady.

Książka Puchalskiego nie może się nie podobać. Nawet swawolny Dyzio



oglądałby ją grzecznie i w zachwyceniu.

Sam to sprawdziłem. Jechał ze mną kiedyś w jednym przedziale taki kochany synalek zakochanej w nim mamusi. Jedno oko miał dropiate, drugie zielone, mordkę złą i starszą niż jego mamusia. Włosy rosły mu — jak Dyziowi z „Ludzi bezdomnych" — w kierunku widza. Kiedy już słuchać nie mogłem, jak urągał matce i sobaczył ciotce i kiedy patrzeć nie mogłem, jak kuksał zastraszoną córeczkę ciotki, a później dłubał kijkiem od sersa w bucie moje go sąsiada — pomny odkrywczej metody Judyma, już chciałem trzepnąć wyleniałego złośliwca niżej pleców, gdy nagle olśniony zostałem własnym pomysłem. Zaprosiłem smarkacza do oglądania „Bezkrwawych łowów". Na cały czas podróży mieliśmy zapewniony święty spokój. Mama i ciotka patrzyły na mnie jak na cudotwórcę. A wszyscy pasażerowie z przedziału pytali się, „gdzie to można dostać".



Nie wiem, czy jeszcze można gdzieś dostać. Swojego egzemplarza nie chciałem odstąpić.

Ten artykuł wakacyjny nie jest jednak reklamą. Jest po prostu przypomnieniem o książce ładnej, miłej i pożytecznej. Jest zachętą do ucieczki w świat ciekawy, bogaty i mało znany. Dobrze jest go poznawać. Dobrze chwilami zastanowić się nad ogromnym problemem, czy dudek to to samo, co wudwudek?

Nie, dudek to nie dudek tylko wudwudek. Bo dudek to ten, co myśli że dudek to tylko taki sobie dudek, a nie chce wiedzieć, że to niezwykle miły, ciekawy i inteligentny ptak.

Ot, co!

Tej niezmierzonej mądrości pełni idźcie w wakacje na bezkrwawe łowy. Upolujecie niejedno wzruszenie czyste i dobre. Czego wam i sobie życzę.

Stanisław Zyglich

Pisane w Parku Łazienkowskim, na kolanie.

Post scriptum: Na wewnętrznej stronie karty tytułowej „Bezkrwawych łowów" stoi napisano: „Książka pożądana w bibliotekach publicznych pismem Ministerstwa Oświaty z dnia 4 lipca 1951 roku Nr. Oc.—409/51".

Dodajmy: „Książka pożądana w bibliotekach domowych pismem Ministerstwa Spraw Pożytecznych i Miłych z dnia 17 sierpnia 1952 roku, nr 1008/NBwH-cP§iJH, WBrr. DGM".

S. Z.

*) Włodzimierz Puchalski „Bezkrwawe łowy", Nasza Księgarnia, Warszawa, 1951, str. 155.

1) Redakcja kazała mi powpychać do odnośników notki bibliograficzne, więc niechętnie wpycham. Chodzi o książkę Cherry Keartona: „Wyspa 5.000.000 pingwinów". PIW. Przekład autoryzowany Aleksandra Dobrota. 1949, str. 190.

2) J-H. Fabre: Z życia owadów, tłum. Zofia Boguszewicz i Maria Górska. Wiedza. 1948. Wyd. 3. str. 244.

3) Maurycy Maeterlinck. Inteligencja kwiatów, przekł. autor. Franciszka Mirandoli. Wyd. Polskie Ryszarda Wegnera, Warszawa 1948 str. 210. Ale ta historia o inteligencji korzenia wygrzebana jest z dzieła Brandisa pt. „Über Leben und Polarität".

4) Arkady Fiedler „Zwierzęta z lasu dziewiczego". Czytelnik. Warszawa 1949. Str. 143.

5) Georg Fiedler: „Farbwunder der Natur". F. A. Brockhaus. Leipzig. 1950. str. 68.

6) E. Spangenberg: Przygody przyrodnika tłum. z rosyjskiego W. Olszewska. Książka i Wiedza, str. 260.

7) G. Skriebicki: „Opowiadania myśliwego". Tłum. z rosyjskiego Leonard Podhorski - Okołów. Nasza Księgarnia. Warszawa 1951, str. 137.

8) Chodzi tu o dwie ostatnie książki Priszwina, które muszą się doczekać osobnego omówienia.

KAZIMIERZ PIEKUT

Modlitwa kwiatów o deszcz

Rży pasikonik. Kani żałość
na blaszkach skrzydeł waży łątka.
Niebieskie jest westchnienie chabrów
wczepione w zgrzebny głos skowronka.

Pszczołom podają miodne usta,
pełznąc nad rowem, macierzanki
w namiętnych słońca pocałunkach
mdleją rumianki.

Skwar szept ostróżki w palcach roztarł,
rozchodnik stoczył się w wyschnięty wądół
— Módl się za nami, siostro lilio polna
— Módl się za nami, bracie głogu...

Jak młodzieńcy w piecu ognistym — dziewanny
strzelistym hymnem czoła chłodzą.
— Któryś za kwiaty cierpiał rany,
— Któryś dla kwiatów się narodził...

Wieża gotycka

Jak rozdarta zasłona opadła noc,
gdy miasto krzyknęło — jestem! — syrenami fabryk.
Powietrznych rzek przejrzystość, łoskot fal i plusk —
to ulatają egzotyczne ptaki,
co mają kryształowe pióra i oczy z korału.
Dzień stanął dęba, grzebnąwszy kopytem —
nieujeżdżony źrebiec przed otwartą stajnią
sypiący iskry z podków,
a wiatr z zieloną lirą stanął
na moście rozstań i powrotów.
Brzozowa witka przemijania wybija takt. Dzwon.
Gną się wiotkie łodygi — szklanych katedr wieże.
O północy na poddaszu urodził się ktoś,
o świcie ktoś umarł na piętrze.

Madonno! uśmiech Twój prosty
malowany płomieniem dobroci
i karminem ciszy.
Rozchyl
swe dłonie śniade, w których trzepoce radość
— Madonno dnia powszedniego,
— Madonno z gołębiej niszy...

KRYSTYNA KONARSKA-ŁOSIOWA

Wiersz

Modlę się o niego. Już nadpływa,
Jak porywczy przed burzą wiatr.
Już na myśl jak płomień chybotliwą
Wizjami, melodiami spadł.

Wszystkie słowa przepalił i rzucił
Niepotrzebne na rozstajne drogi.
W mleczną drogę przemieniony ucichł
Pomiędzy mną — a Bogiem.

I powrócił w kształcie gotowym
Nagły, świetlisty jak Łaska,
Ciemność we mnie złotą dłonią ugłaskał
I pozwolił znów zakwitnąć słowom.

HALINA PANFIŁOWICZ

* * *

Jakiż jest sens prawdziwy
tej chwili, która nieodgadniona
wyrosła z pożogi słów pustych i głupich —
a teraz
samotna kona?

Czy byłaby tylko magicznym zaklęciem —
snem żywym trwającym jeszcze krócej
uśmiechem przeżycia — nic więcej
— a jednak —
nie mogę uciec.

Czyżby szła z wiatrem krawędziami ulic
rzeźbić ślady moim nowym krokom
pieśniom polszczki do nocy przytulać
i chwiać
chwiać dłonią wieży
na znak tęsknotom.

Leszek PROROK

Ulica Szymona Ptysia

OJCIEC mój, wieloletni akwizytor Towarzystwa Ubezpieczeń „Nadzieja", często bywał w Niedudowie. Po przejściu na emeryturę, gdy wolny czas pozwolił mu w pełni dać upust urodzonemu gadulstwu, lubił wracać wspomnieniem do schludnego miasteczka, które słynie z browaru, zabytkowego opactwa OO. Zmartwychwstańców i malowniczej dzwonnicy. Tę ostatnią kilka pokoleń malarskich naszej akademii uważało za pierwszy szczebel na drabinie sławy. Akwarela, olej czy rysunek starej wieży, obrosłej od dołu pleśnią mchów, przypinały ostrogi rycerskie młodym talentom. Nic też dziwnego, że w okresie letnim nasi studenci jeździli gromadnie do Niedudowa. Dźwigali wtedy różne przybory, które pociągały wyobraźnię mego dzieciństwa. Stalugi, budzące wspomnienia przeżyć u fotografa, błyszczące kasety z farbami, ramy obciągnięte płótnem, teki z kartonem.



Ja też jako wyrostek bywałem w Niedudowie. Ostatni raz z ojcem, zanim choroba przykuła go na długie lata do fotela. Obejrzeliśmy wszystko, co było godne widzenia, i chodziliśmy po uliczkach grodu, które, ciasne w śródmieściu, rozlewały się dalej w aleje niedużych domków. Domki te tonęły najczęściej w gęstych sadach. Ojciec kupował mi znane grusze niedudowskie, słodkie i soczyste. Sok z ciężkich owoców ściekał mi tak szybko po brodzie, iż niesposób było ocalić wszystkich kropli aromatycznej słodyczy. Pod wieczór przechodziliśmy znów przez śródmieście, dążąc na stację staromodnej, spracowanej kolejki, która wiąże Niedudów z równie cichymi Durczycami z jednej strony, z moim miastem rodzinnym — z drugiej. Kolejka gderliwym fukaniem odwoziła nas do domu. Wagoniki, stacyjka, a nawet zabudowania kolejowe były bardzo małe. Raziłby tu nawet wyraz stacja, zbyt poważny w tym otoczeniu. Dla mnie, szkraba, sennego po dniu pełnym wrażeń, kolejka jawiła się w wymiarze miniaturowym, niegroźnym, zgodnym z wiekiem i domorosłymi wyobrażeniami o wielkości świata. Gdy dążyliśmy do stacyjki, ojciec wskazał mi ulicę, która nie różniła się od innych wielkością ani charakterem.

— To była ulica Szymona Ptysia.

Powiedział to, a potem zadumał się. Dla mnie, poza dźwiękiem ostatniego wyrazu, znanego z odwiedzin u cukiernika, nic tu ciekawego nie było. Usiłowałem wyobrazić sobie człowieka o tak smacznym nazwisku. Ojca nurtowało głębiej jakieś wspomnienie.

— Ciekawym człowiekiem był ten Ptyś. Co też się z nim stało? — mruczał, gdy sadowiliśmy się w przedziale. — Kilka lat go nie widziałem.

Zdaje się, że zaczął mi opowiadać historię ulicy jeszcze tego wieczora, lecz byłem zbyt senny, by cośkolwiek spamiętać. Na szczęście w latach choroby powracał do niej kilkakrotnie i zdołał utrwalić we mnie przekonanie, że Szymon Ptyś był naprawdę ciekawym osobnikiem. Cenna to i rzadka opinia w ustach człowieka, który z tytułu swego zajęcia stykał się z wielką ilością bliźnich i przywykł do ich dziwactw.

Po śmierci ojca przeniosłem się do stolicy i zerwałem więzy z okolicami, gdzie spędziłem młodość. Również Niedudów odsunął się w zapomnienie. Chowałem go w archiwum pamięci, tam, gdzie leżą najbardziej wystrzępione, najstarsze akta... Jeśli jednak miasteczko zjawiało się kiedykolwiek z nurcie moich wspomnień, wyrastała zawsze nierozłączna historia ulicy Szymona Ptysia, człowieka, którego twarzy choć go ojciec opisywał dokładnie, nie mogłem sobie na wzór ludzki nigdy wyobrazić, tak silnie odcisnęło się pierwsze zestawienie brzmienia nazwiska z ciastkami, których do dziś jeszcze jestem amatorem.

PRZYCZYNA tragedii Szymona Ptysia, o niej tu bowiem będzie mowa, tkwiła w jego zasługach. Choć ojciec poznał go jako całkiem jeszcze młodego mężczyznę — podkreślał nieraz tę okoliczność — musiały to być jednak sprawy odległe i zatarte lub pogmatwane, skoro żadna dokładna relacja o nich nie przetrwała. A może ojciec mój po prostu zapomniał o tym, co zapoczątkowało historię tej ulicy. Zdarzenie, które nieraz wysiłkiem wyobraźni starałem się dokomponować do ojcowskiej opowieści, do dziś jeszcze sprawia na mnie wrażenie nieznanego sprawcy w świecie przebrzmiałych faktów. Czy był to akt odwagi — ratunek tonących lub pomoc w stłumieniu pożaru, czy może niespodziewane odnalezienie dokumentu, świadczącego o chlubnej przeszłości mieściny... Mógł coś podobnego wyszperać, myszkując po strychu opactwa, dokąd zakradał się, znęcony bogactwem klasztornego sadu. Wszystko być mogło, nic jednak nie zadowalało mej wyobraźni i nie godziło się z resztą ojcowskiej opowieści. Pozostawał nagi fakt. Szymon Ptyś miał jakieś zasługi w rodzinnym mieście. Musiały być niemałe, skoro ojcowie Niedudowa postanowili jedną z niewielkich uliczek śródmieścia nazwać apetycznym nazwiskiem Szymona Ptysia.

Był wtedy młodzieńcem. Kończył progimnazjum niedudowskie, zasłużoną uczelnię, która w rzędzie swych wychowanków liczy ponoć kilku luminarzy naszego społeczeństwa. Młody Ptyś przeżył okres rozgłosu w swym światku. Stary Ptyś, ceniony szewc niedudowskiego śródmieścia, rozkwitał w blaskach synowskiej sławy. Darował chętnie dawniejsze wybryki udanemu potomkowi. Z jego powodu przedłużył kilkakrotnie poniedziałkowe tradycje swego zawodu.

Nowe tablice na czterech rogach uliczki, nie przeciętej żadną przecznicą, przybito uroczyście. Społeczeństwo niedudowskie jeszcze dziś żywi skłonność do podniosłych aktów. Progimnazjum wystąpiło w pełnej gali pod wodzą dyrektora, wiecznie zatabaczonego staruszka. Wydarzenie miało dlań głęboką wymowę wychowawczą. Tło dla dostojników miejskich i wzruszonej rodziny tworzyła gromadka gapiów.

Ilekroć później Szymon Ptyś wkraczał do wąskiego wąwozu dwupiętrowych kamienic, doznawał dziwnego uczucia. Tablice z jego nazwiskiem wiązały go z wygiętą kiszką uliczki jakąś tajemną lecz silną nicią. Na ulicy Szymona Ptysia tracił swobodę i przestawał być sobą. Czasem — cóż za dziwaczne urojenie — wydawało mu się, iż on sam został przybity na narożniku, z którego płatami odpadał tynk, gdy „bałaguły" — żydowskie furgony do rozwożenia towaru, jeździły tędy w dni targowe. Czuł się żywym drogowskazem. Było to męczące, lecz nie odbierało poczucia wyższości w gronie rówieśników, wśród których ulicą swą chadzał codziennie do szkoły.

Główną winę za to niejasne skrępowanie ponosi bez wątpienia stary dyrektor niedudowskiego progimnazjum. Człowiek ten — jak wynika z ptysiowej relacji, w ojcowskim przekazie — lubił niemniej przyprawiać życie patosem, niż swe lekcje tabaką. Po akcie miejskim, który warował Szymonowi zakurzoną nieśmiertelność w magistrackim archiwum, odbył w swoim zakresie akt równie uroczysty, bardziej za to pouczający. Wobec zgromadzonej młodzieży wygłosił do Szymona długą mowę, naszpikowaną obficie cytatami ze starożytnych. Zwracał wychowankowi uwagę na wyróżnienie tak niebywałe dla młodzieńca, którego dostąpił on, a wraz z nim jego uczelnia. Mówił o szczytnej roli świecenia przykładem, o słodyczy życia na społecznym świeczniku, z którego czerpie się przykłady. Młody Ptyś giął się pod rozległymi perspektywami faktu, którego by nigdy o tak wielką wagę i bogactwo następstw nie posądził, gdyby nie głębia i rozległość spojrzenia jego wychowawcy. Dyrektor zaś podniecał się własnym patosem. Głos jego przeszedł w końcu w ton rozkazujący. Zażądał od wychowanka, by złożył uroczystą przysięgę, że nie skazi nigdy niegodnym zachowaniem nazwiska, które, przybite mocno do narożnego muru, wiedzie teraz byt publiczny. Szymon Ptyś ma zawsze i wszędzie okazać się godny swej ulicy.

Perory starych, zatabaczonych pedagogów miewają nieraz wpływ hipnotyczny. Słowa wychowawcy stały się najtrwalszą nauką, jaką chłopak wyniósł ze szkoły.

PRZYJEMNOŚĆ wyróżnienia trwała krótko. Wiek młody nie lubi przybijać zasług na tablicach. Raczej trwoni je rozrzutnie i lekceważąco w wirze życia. Tak było by zapewne i z Ptysiem, lecz echo słów dyrektora i złożonej przysięgi pozostawiło gorzki posmak kagańca i związało swobodę. Ulica stawiała nieraz Szymona w położeniu kłopotliwym, by z czasem stać się jego zmorą. Jakże tu wiosenną porą uganiać się po parku w tabunie koleżków za chichocącymi dziewczętami i budzić zgrozę na twarzach leciwych matron. Gdybyż był zwykłym Ptysiem sprzed roku! Dziś każdy mógł powiedzieć: i to ten Ptyś z ulicy Ptysia; co za straszny upadek... Jakże zakradać się na soczyste grusze do ogrodu opactwa? Nie uchodziło to od chwili, gdy swym nazwiskiem rozpoczął wskazywać drogę od opactwa do rynku.

— Ty nie możesz iść z nami — śmiali cię złośliwie koledzy. — Przecież ty masz ulicę. Jesteś prawie pomnikiem.

Drwiąco powtarzali podniosłe słowa starego dyrektora. Odpadło współautorstwo karnawałowych brewerii, które nawet w sennym Niedudowie wypadały hałaśliwie. Upokarzało to ambicję Ptysia, lecz rozumiał, że nie mogło być inaczej. Ot, choćby powtarzana co pewien czas wesoła zabawa małych miasteczek, stara jak świat: nocna zmiana szyldów. Nie uchodziło, by Ptyś czynił wesoły zamęt na ulicy Ptysia; zamęt, z którego nazajutrz śmiało się całe miasto, obserwując jak klienci akuszerki trafiają do kancelarii napuszonego adwokata, a nad restauracją widnieje szyld zakładu pogrzebowego z posępną trumną.

W tym czasie Szymon Ptyś poznał jak złuda ziemskiego rozgłosu kradnie wesele i niefrasobliwość życia. Porzucił koleżków, zdziwaczał nieco. W samotniczych monologach, które wiódł z duchem starego dyrektora, raz po raz bluzgał cynizmem, a jednak pozostawał wierny jego zaklęciom.

Lata biegły. Szymon wyrastał na wzór niedudowskiej solidności. Wojna i odzyskanie niepodległości przetasowały ludność kraju. Mimo wielu zmian nie opuścił miasteczka. Edukację zakończył na progimnazjum. Ożenił się młodo i szczęśliwie. Po ojcu, który go odumarł, odziedziczył kamieniczkę. Z tego tytułu poznał go mój ojciec, pobierając składki ubezpieczenia ogniowego od właścicieli niedudowskich realności. Ptyś był już wtedy cenionym rachmistrzem browaru. Nikt w nim nie podejrzewał niewyżytych, awanturniczych tęsknot, zdławionych brutalnie kagańcem sławy i jej wymagań. Na pozór przykładnie nosił godło swego zawodu, czarne, satynowe zarękawki, i hodował świeżą łysinkę. Do biura chadzał codziennie ulicą Szymona Ptysia, co dzień odżywało w nim wspomnienie starego wychowawcy, jego tabakierki i niebacznie złożonej przysięgi. Mimo rozwagi wieku nie umiał odnaleźć utraconej swobody. Nawet żona stała tu na przeszkodzie. Zwykłej pestki od śliwki nie mógł wypluć do ścieku, żeby nie narazić się na zgorszenie: — Ależ, Szymku. Jak ci nie wstyd... I to na twojej ulicy...

Nazwisko, spłowiałe od deszczów i słońca, łuszczyło się odpryskami farby. Na tabliczkę wypełzała coraz śmielej rdza. Dla żony, rozkochanej w rachmistrzu, rdzewiejące świadectwo dawnego bohaterstwa czy zasługi było wciąż świeże. Stwarzało niewyczerpaną pożywkę dla jej kobiecej dumy.

W latach powojennych miasteczko uległo znacznym przeobrażeniom. Niedudów, wciśnięty dawniej w klin zaborczych granic, zaczerpnął więcej oddechu. Szeroki trakt państwowy przeciął w nowym kierunku splątany węzeł uliczek śródmieścia. Trakt wybrał dla swego nurtu ulicę Szymona Ptysia, która z czasem ze śródmiejskiego kopciuszka przekształciła się w niedudowską magistralę. Wydłużyła się znacznie o nowe odcinki, obrosła po obu stronach nowymi domami o jasnych fasadach, a bogate sady zepchnęła dalej na przedmieścia.

Niewielu pamiętało wówczas, komu poświęcono ulicę, która zrobiła tak zawrotną karierę. Jeszcze mniej było tych, którzy potrafili by powiedzieć, jakie zasługi fakt ten spowodowały. Jedynie w rachmistrzu Ptysiu, zadręczającym się własną manią, sprawy te żyły, świeże i nieprzedawnione.

Nazwisko z tabliczek, choć było jego własne, uważał za wroga. Cieszył się, że rdzewiało i zanikało powoli. Obserwował z satysfakcją jak listki farby pękają i zwijają się w trąbki w czasie upalnych dni. Potem deszcze spłukiwały je na bruk, a na blasze wykwitał świeży kwiat rdzy. Śledził ten proces zachłannie, z przewrotnym zadowoleniem. W każdej ulewie upatrywał sojusznika, który rozluźnia jego pęta. Marzył rozkosznie, na jakie wybryki sobie pozwoli, gdy ostatnia litera nazwiska rozpłynie się doszczętnie. W jak rozmyślny sposób powetuje sobie lata krępującej poprawności.

Na nieszczęście zmienił się skład rady miejskiej. Na czele magistratu stanął radca Trząsik. Była to w Niedudowie postać popularna. Nieliczni tylko znali piętę achillesową radcy. Codziennie po południu napadała go fala burczenia w brzuchu tak głośna, że urągała zasadom przyzwoitości. Nie mógł jej w żaden sposób zwalczyć, więc popołudniowe sesje rady przyprawiały skądinąd wstydliwego człowieka o katusze. Burmistrz Trząsik był jednak energicznym włodarzem. Kadencję swą rozpoczął od kosmetyki ulic miejskich. Przybyło zieleni, w parku ustawiono nowe ławki. Wreszcie odnowiono wszystkie zniszczone tablice uliczne. — To hołd, jaki winienem zasługom obywateli — zaczął podniośle referować swój wniosek na posiedzeniu rady miejskiej. Mówił głośno, gdyż żenująca przypadłość znów zasygnalizowała swe istnienie.



Szymon Ptyś patrzał bezsilnie jak totumfacki magistratu, stary Ożóg, przybija na murze, nad śladami rdzawych zacieków nowe lśniące tablice, niwecząc wszystkie marzenia o odzyskanym spokoju. Nowi znajomi, osiedli w Niedudowie po wojnie, zapytywali uprzejmie, czy Ptyś to ktoś z jego rodziny. Uważał to za ukrytą drwinę. Nie mówił im prawdy.

W rachmistrzu browaru narastał bunt. Wieczorami wychodził z domu samotnie. Stawał na narożni-

(Dokończenie na str. 9)

Sławomir BŁAUT

POWIEW ŚWIEŻOŚCI

PRZY lekturze nowej powieści Zielińskiego*) żywo w pamięci staje stosunkowo niedawny jego „podwójny" debiut. Bo też korzenie „Ostatnich ogni" sięgają głęboko do poprzednich utworów: „Przed świtem" i „Dno miski". Wskazuje na to wybór tematu, metoda pisarska, a także pewne, zresztą nieznaczne, filiacje sytuacyjne i charakterologiczne. Nie znaczy to wcale, by pisarz powtarzał się; przeciwnie, cechuje go wielka inwencja i pomysłowość przejawiająca się w umiejętności konstruowania niezwykle bogatej i interesującej fabuły, z której z powodzeniem dałoby się wykroić materiał co najmniej na trzy powieści. Ale w prozie Zielińskiego można już dostrzec pewne właściwości, które, świadcząc o całkowicie indywidualnym sposobie widzenia i odtwarzania rzeczywistości, stanowią o samodzielności i odrębności jego pisarstwa i łączą jednocześnie wszystkie trzy jego książki.

„Jak trudno wyzwolić się z kręgu własnych przeżyć" — to tytuł niewielkiego cyklu opowiadań z tomu „Przed świtem", dający się bez trudu rozciągnąć na całą dotychczasową twórczość Zielińskiego, z „Ostatnimi ogniami" włącznie. W powieści swej pisarz powoli, nie bez różnych oporów i zahamowań, wyzwala się z wąskiego „kręgu doświadczeń żołnierza i jeńca" a zwłaszcza uwalnia się od charakterystycznego dla opowiadań specyficznego klimatu obozowego. Obóz zjawia się tu bezpośrednio tylko w postaci kilku anegdot (kapitalna jest anegdota o Jonaszu), znacznie silniej relikty jenieckie przejawiają się w postępowaniu postaci. Nie wystarcza autorowi już samo rejestrowanie wyników świetnej zkądinąd obserwacji dostrzeżonych faktów; próbuje je zinterpretować, skomentować.

„Ostatnie ognie" odznaczają się ciekawą i oryginalną kompozycją. Autor zastosował tu z powodzeniem rzadko spotykaną w powieściach, częstą natomiast w małych formach epickich, strukturę ramową. Mamy tu przestawienie chronologiczne: zasadnicza opowieść stanowi retrospektywne spojrzenie narratora na wydarzenia sprzed pięciu lat; wielki proces polityczny, jaki stanowi ramy utworu, jest w pewnym sensie ich epilogiem i rekapitulacją. Konstrukcja opowieści zasadniczej oparta jest na starym, ale pewnym ujęciu, motywie podróży.

TOWARZYSZĄC wyzwolonemu z oflagu Masłowcowi w jego wędrówce po Europie zachodniej poznajemy różne środowiska naszej przymusowej wówczas emigracji i różne drogi rzuconych na obczyznę Polaków, którzy szukają powrotu. Spotykamy ludzi błądzących, słabych, otumanionych, niepewnych. Rozterka duchowa, brak oparcia moralnego staje się nieraz przyczyną załamania człowieka o psychice zwichniętej kilkoletnim pobytem w obozie (Tomasz Poczekaj). Dezorientacja, niewiedza, rzuca ludzi na poniewierkę i wysługiwanie się obcym mocodawcom. „Zmysł handlowy" pozwala wygodnie „urządzić się" nie mającym skrupułów, egoistycznym jednostkom, w rodzaju Mazurkiewicza, Galandzkiego czy Sobierajskiej. Wreszcie instynkt klasowy lub zdecydowana postawa ideowa prowadzą ludzi bez wahań do powrotu. Najczęstszą jest chyba droga Masłowca po długiej włóczędze decydującego się na powrót do kraju.

Fabuła „Ostatnich ogni" jest bardzo barwna i bogata, akcja toczy się żywo i wartko, sytuacje zmieniają się błyskawicznie, zdarzenia nieprawdopodobne, sensacyjne przeplatają się z prawdziwymi, nieraz tragicznymi. Święci tu triumfy, znana już dobrze z opowiadań, technika migawek.

POSTAWA Zielińskiego jest postawą kpiarza-ironisty o wyraźnym zabarwieniu optymistycznym. Wiąże się z tym skłonność do karykatury i groteski, a także specjalny rodzaj humoru, do którego pisarz przykłada specjalnie dużą wagę, bo jak się sam kiedyś wyraził: „śmiech przywiązuje do książki". Do ludzi i zdarzeń podchodzi Zieliński od strony jakichś ciekawostek, słabości, odchyleń, okazuje wielkie zainteresowanie i wrażliwość na mało znaczące fakciki i drobne szczegóły. Dziedzictwo naturalistyczne przy krzywem zwierciadełku, w którym widzi autor rzeczywistość, zniekształca niejednokrotnie właściwe proporcje postaci, zdarzeń i konfliktów. Zieliński przede wszystkim krytykuje, przedstawia negatyw życia, jakie ukazało się oczom uwolnionego z obozu oficera.

Nieomal wszystkie postacie traktuje pisarz z pewną dozą ironii; nawet Masłowiec okazuje się sympatycznym safandułą i pantoflarzem, traktowany jest pobłażliwie, z życzliwym poklepywaniem. Jeden Tański, predestynowany do naczelnej roli pozytywnej w powieści, ujęty jest z epickim obiektywizmem, ale może właśnie dlatego wypada blado. Zieliński nie jest jeszcze dobrym psychologiem. Mając lekką i hojną rękę do kojarzenia wszelkiego rodzaju par, nie liczy się wcale z prawdopodobieństwem psychologicznym. Jako ilustracja niech posłuży przykład miłości Masłowca i Mani. Obustronne uczucie wybucha nagle, po kilku godzinach znajomości, potem ona ucieka, a on udaje się za nią w pościg, dogania ją, biorą ślub i wracają do Polski. Wygląda to bardzo groteskowo; wydaje się jednak, że wypływa to raczej z przekory autora, niż z jego nieporadności.

Przyczyny tych znamiennych właściwości pióra Zielińskiego tkwią głęboko nie tylko w metodzie pisarskiej, ale i w samym widzeniu rzeczywistości. Toteż należałoby być bardzo ostrożnym przy doradzaniu pisarzowi przejścia na drogę prawdziwego, wielkiego realizmu; Zieliński jest indywidualnością mocną, idącą własną drogą twórczą, nie znoszącą wędzideł i ograniczeń, tak, że rozwój jego pisarstwa właśnie przez to zapowiada się niezwykle interesująco. Trzeba tu jednak wskazać na jedno niebezpieczeństwo: oto w powodzi drobiażdżków pod piórem Zielińskiego rozpływa się człowiek.

SPOZA sensacyjnych wydarzeń i groteskowych postaci wyrasta sprawa, mająca zasadnicze znaczenie dla ideowej wymowy książki — sprawa pokoju. „W powojennym pogorzelisku tlą się jeszcze niebezpieczne iskry, mogące przy pomyślnym podmuchu stać się zarzewiem nowego pożaru. Mam nadzieję, że damy im radę" — mówi autor i pokazuje ciemne machinacje różnych awanturników, w rodzaju Byczołupskego, któremu marzy się kariera Napoleona, dążących dla osobistych interesów do wywołania nowego światowego konfliktu. Ramowy proces Szulawki jest zgaszeniem jednej z takich iskier.

Autor świetnych migawek z życia żołnierskiego i obozowego równie swobodnie porusza się w powieści, jak i w krótkim opowiadaniu. W „Ostatnich ogniach" widać siłę, rozmach, świeżość, swobodę, doskonałą technikę narracyjną, znamionującą rasowego epika. Powieść Zielińskiego stanowi pierwszy tom większej całości; w części drugiej, mającej być fabularną kontynuacją „Ostatnich Ogni" zapowiada pisarz zmianę terenu i środowiska, a tym samym dalsze wyzwolenie się z kręgu żołniersko-obozowych przeżyć. „Ostatnie ognie" nie są może jeszcze pełną realizacją pokładanych w Zielińskim nadziei, ale raz jeszcze potwierdzają jego wielkie możliwości pisarskie i umacniają jego pozycję, w czołówce naszej prozy. Dalszą jego drogę śledzić będziemy z wielkim zainteresowaniem i zaufaniem, jakie zdobył Zieliński trzema tomami dobrej prozy.

*) Stanisław Zieliński: „Ostatnie ognie". Czytelnik 1951, str. 307.

Ulica Sz. Ptysia

(Dokończenie ze str. 8)

ku i żuł nienawistne zamiary wobec tego Ptysia, który znów pysznił się na murze elegancją emaliowanych liter.

WRESZCIE dojrzał w nim śmiały zamiar. Którejś ciemnej nocy, okryty szczelnie płaszczem, wymknął się na narożnik z drabiną. Z pasją wspiął się po szczeblach i zdarł nienawistne tablice. Na ich miejscu napisał pośpiesznie kredą: „Ulica nieznanych sprawców". Tkwił w tym posmak niesamowitości, którą podniecają się w rojeniach mieszkańcy pretensjonalnych miasteczek. Następnie rozprawił się z resztą tablic, na innych rogach ulicy.

Nocny czyn wywołał poruszenie w mieście. Nie zwróciły większej uwagi nowe tablice burmistrza, gdy je zawieszano, niż teraz, gdy znikły. Najdziwniejsze pogłoski krążyły wokół ulicy Ptysia. Gubiono się w domysłach. Czy działała tu ręka wroga rodzinie Ptysiów, czy może niechętna nowemu burmistrzowi tylko — podejrzenia kierowały się ku miejskiej opozycji — czy wreszcie był to czyn wroga ładu i porządku w ogóle? Czasy nie były spokojne. Burmistrz Trząsik dzierżył jednak ster miasta krzepko i nieustraszenie. Zamówił nowe tabliczki u malarza szyldów i po kilku dniach osobiście asystował przy ich umieszczeniu na osieroconych miejscach.

— Odparliśmy zamach na tradycje — mówił z przejęciem do swej asysty magistrackiej i niezmiennej gromadki gapiów. — Chcę wierzyć, że męty społeczne nie poważą się profanować powtórnie tego, co jest nam wszystkim drogie.

Ptyś patrzał na nowe tablice i płakał w bezsilnej złości. Zalałby się z rozpaczy na umór, lecz obie knajpy niedudowskie mieściły się przy ulicy Szymona Ptysia. Poczucie odpowiedzialności, nodowane z udręką od lat, nie pozwoliło mu na niestosowne zachowanie.

W tym właśnie czasie ojciec mój bawił dłużej w miasteczku w sprawach Towarzystwa Ubezpieczeń i trafił do Szymona. Do Niedudowa nie dotarła jeszcze podówczas wielkomiejska zasada „załatw sprawę i żegnaj!", która tak pustoszy życie towarzyskie. Zgnębiony Ptyś łaknął powiernika spoza własnego środowiska. Musiał zwierzyć komuś swój ciężar. To obiecywało ulgę.

Ojciec wysłuchał całej historii z uprzejmym zaciekawieniem. Taki był zawsze. Nie lubił nikogo zrażać brakiem zainteresowania. Starał się jednak spojrzeć na rzecz całą bardziej trzeźwo.

— Ostatecznie cóż to panu szkodzi? To jest nawet przyjemne.

— Nie lubię patosu — burknął Ptyś całkiem niegrzecznie. — Pan nie ma pojęcia, czym jest patos małego miasteczka. Ta wieczna tęsknota naszych dygnitarzy za cudzymi proporcjami. Taki Trząsik przy lada okazji wygłasza przemówienie, niczym premier w Sejmie, choć każde dziecko śmieje się tu z jego burczenia. Ogólnopaństwowe zwroty i maniery chce koniecznie wcisnąć na nasz ciasny rynek. — Zatoczył przy tym ręką koło, jakby wytyczał granice przyciasnemu rynkowi niedudowskiemu. — Nie lubię wielkich słów!

Ojciec mój pytał dalej, czemu nie opuścił miasta, które tak wiąże jego swobodę. Tyle zmian nastąpiło w ostatnich latach. Ptyś smutno kiwał głową.

Kochał swoje miasto. Czuł trochę lęk przed obcym wielkim światem. Za młodu, gdy podpatrywał malarzy, rysujących dzwonnicę, budziły się w nim tęsknoty za artystyczną włóczęgą. Miał nawet ponoć zdolności rysunkowe. Lecz — to też należało do jego manii — jakaś idiotyczna lojalność nie pozwoliła mu rzucić swej ulicy. Z biegiem lat rozsmakował się nawet w udręce, której zakres on sam tylko pojąć potrafił, jak twórca pojmuje pełną ideę swego dzieła.

Pierwsze zwierzenie przyczyniło się do zadzierzgnięcia znajomości. Ilekroć później ojciec bywał w Niedudowie, zachodził do rachmistrza browaru, witany z radością. Z czasem — tak mówił ojciec — i jemu udzielił się jakiś zabobonny stosunek do tabliczek, które śladem poprzednich też już powoli blakły. Pod wrażeniem opowieści obchodził róg ulicy Ptysia z ostrożnością, której rozsądnie nie potrafiłby wyjaśnić, ani usprawiedliwić. Wstydził się nawet trochę, gdy mi o tym mówił.

JAKO wyrostek nie mogłem pojąć maniaka. Słuchałem gawędy ojca bardziej przez szacunek dla niego samego, przez wspomnienie smaku niedudowskich grusz i obrazu spadzistych dachów opactwa, wyzłoconych w zachodzącym słońcu. Dopiero po latach, gdy ojciec już nie żył, odtworzyłem sobie całą historię w sposób pełniejszy i bardziej wyrafinowany. Dorosły wiek chętniej przyznaje prawo obywatelstwa dziwactwom. Oczywiście całej historii nie zbrakło zakończenia, które zbiegło się z ostatnim okresem akwizytorskiej pracy ojca. Krótko potem przeszedł na emeryturę.

Szymon Ptyś doczekał się wybawienia całkiem niespodziewanie. Przyniósł je fakt, który uważano powszechnie za narodową katastrofę. Wąsaty marszałek dokonał zamachu stanu. Zmienił się rząd i niebawem okazało się, że galeria zasłużonych wygląda całkiem inaczej niż dotąd. Zaczęto wyciągać na jaw inne zasługi. Potrzeba było wielu nowych ulic i placów na oprawę godną, nowych, zasłużonych nazwisk. Lecz kraj nasz był stanowczo za słabo rozbudowany na potrzeby nowej historii. Więcej mieliśmy zasłużonych niż rogów. Te ostatnie służyły przeto z konieczności turnusami coraz innym garniturom nazwisk.

Wieka fala przewartościowania wartości dotarła i do Niedudowa. Steru miasta nie dzierżył już wówczas burmistrz Trząsik. Żenująca przypadłość poczyniła w tym niespokojnym okresie politycznym tak zastraszające postępy, że uczynił z siebie ofiarę. W imię dobrych obyczajów i spokoju sesji złożył mandat. Zwolennicy uznali go chętnie za ofiarę nowego reżimu, co aktowi radcy nadało posmak bardziej dramatyczny.

Nowy sternik niedudowskiej nawy postanowił dogonić wypadki. Rozpoczął od przemianowania szeregu ulic. Ulicy Durczyckiej, starej jak miasteczko, magistrat nie ruszył. Tkwiło w tym jednak ziarno poczucia rzeczywistości i wartości nieprzemijających. Za to róg, który od lat był codzienną zmorą Ptysia, ozdobiło nazwisko zasłużonego polityka. Ptyś zakończył swą kadencję historyczną. Nowy rząd ją zaczynał. Rachmistrz browaru wykrzesał w sobie siły do podeptania kompleksów przeszłości. Z lubieżną satysfakcją upił się w reprezentacyjnej knajpie miasteczka. Wkrótce potem wszedł do obozu rządowego, a gdy ojciec widział go po raz ostatni, montował na terenie miasta związek współpracy z wąsatym marszałkiem.

Eksburmistrz Trząsik uważał Ptysia po jego detronizacji za sojusznika, i nie omieszkał zaznaczać, iż to on ratował ongiś nazwisko rachmistrza przed zakusami nieznanych sprawców. Mrugał przy tym tajemniczo okiem. Gdy Szymon zaangażował się jawnie, radca syczał za nim z pogardą: — Wazeliniarz, sanator! — poczem spluwał zamaszyście na bruk, utrwalając w społeczeństwie swą nową sławę — niedudowskiego Katona.

Leszek Prorok

Zobowiązuje miara naszych czasów

(Dokończenie ze str. 5)

slowanie na inne tory. Chodzi o to, że pisarz, gdy zobowiązuje go miara naszych czasów musi pisać i głębiej i mądrzej i lepiej, bardziej po katolicku. Stąd już nie ma ucieczki w łatwą ładność, jest tylko droga ku piękności trudnej.

WIKTOR: W tym co mówisz jest wiele słuszności. Ale przeholowałeś. Zwłaszcza z tym Lepkowskim. Mimo wszystko — to debiut. Chłop zaczyna. Może jeszcze wielu rzeczy nie widzieć. Może wielu rzeczy nie wiedzieć...

KLEMENS: Ach Boże! Właśnie dlatego trzeba tak. Właśnie dlatego, że debiut, że zaczyna, że wielu rzeczy jeszcze nie wie; wielu nie widzi. I dlatego, że nie on jeden. Zrozum...

*

TU rozmowa wróciła do punktu wyjścia. Innymi słowami powtarzano te same argumenty. Wiktor cedził prawdę o literaturze przez siteczko spokojnej rozwagi, Leonard rozkwitał wykrzyknikami i eksplodował fajerwerkami paradoksów, Klemens porał się w słowach niegrzecznych, czasami brzydkich ze swoją szorstką i szacunku pełną miłością dla pięknej sztuki pisania.

Nie zdążyłem zastenografować dalszego ciągu, bo mówili za szybko. No i dlatego, że całej tej rozmowy w ogóle nie było, chociaż są tacy jak Wiktor, Leonard czy Klemens.

W zakończeniu muszę jednak zaznaczyć, że mimo — koniecznych zresztą — uproszczeń, domagającej się stonowania brutalności sądu oraz pewnej emfatyczności wypowiedzi Klemensa — zgadzam się z Klemensem.

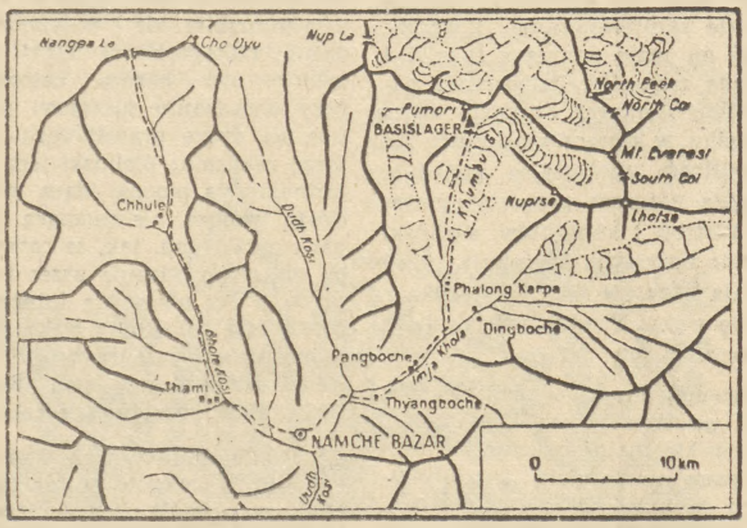
Zygmunt Lichniak

*) Andrzej Łepkowski: Ludzie znad zatoki. Pax, Warszawa, 1952, str 199

**) Zdania cytowane pochodzą z artykułu Stefana Lichańskiego pt. „Debiut Łepkowskiego" w „Dziś i Jutrze" nr. 25/343 z dn. 22.VI. 1952.

EVEREST WCIĄŻ NIE ZDOBYTY

W TYM roku szwajcarska ekspedycja pokusiła się o zapełnienie tej ciągle jeszcze białej plamki na mapie świata, jaką stanowi Mount Everest. Nie są znane dokładnie zapasy tych ludzi z olbrzymem i nie należy oczekiwać zbyt rewelacyjnych odkryć poza chyba owym widmem śnieżnego człowieka, który jak wynika ze śladu jego stóp jest zapewne odmianą niedźwiedzia. Dla większości ludzi jednak czar wyprawy płynie raczej z bohaterstwa ludzkiego, na które w górach składają się zarówno odwaga i rozsądek jak śmiałość wyobraźni i wytrwałość w trudach. Urywkowe sprawozdania, które tu i tam ogłasza Fundacja Helwecka dla Badań Alpinistycznych w Zurychu starczą już, aby entuzjastom gór dać garść wiadomości o dziejach tej ekspedycji.

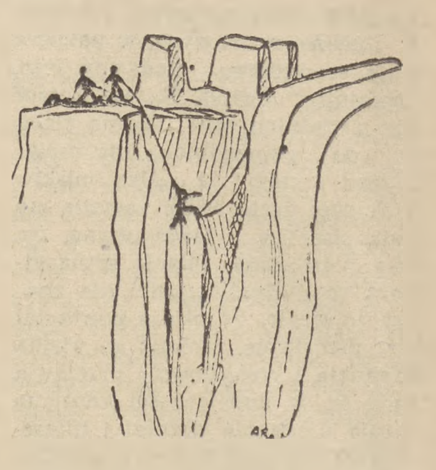


Pierwsza to wyprawa na Mount Everest, która wyszła z Nepalu. Odbyła 225 km mozolnego marszu z Katmandu, stolicy Nepalu i w końcu kwietnia dotarła do lodowca Khumbu, gdzie założono obóz, bazę dalszych działań. Dolina Khumbu wychodzi z osiedla Namche Bazar, z którego wywodzi się szczep Szerpa dostarczający ekspedycjom górskim nieocenionych towarzyszy i przewodników. Zamieszczona mapka daje wcale wyraźny obraz marszu szwajcarskiej ekspedycji. Tym razem próba oparła się na planie atakowania szczytu Everestu od strony południowo wschodniej. Pomiędzy szczytem a skalistą kopą Lhotse (7501) znajduje się siodło, z którego miał wyjść rozstrzygający atak. W tym celu założono szereg coraz to wyższych obozów na lodowcu Khumbu. Z Lhotse pomiędzy ciasnymi ścianami granitu spływa istna lodowa Niagara. Była ona dla ekspedycji ciężką przeprawą ze względu na liczne poprzeczne szczeliny. Nieco wyżej na wysokości 8000 metrów założono jeszcze jeden obóz nr. IV, z którego ekspedycja dotarła do południowego siodła (South Col) pomiędzy Everestem a Lhotse.

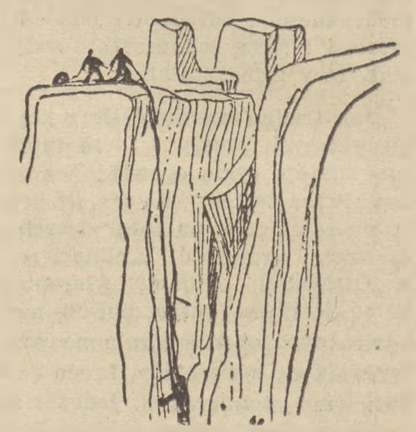
Jeden z najistotniejszych problemów tej ekspedycji stanowił transport. Trzeba było do każdego obozu dostarczyć około 1200 kg sprzętu i żywności. Zadania tego dokonali Szerpowie. Ich głównym zajęciem jest handel z Tybetem, Nepalem i Indiami. Mężczyźni, kobiety i dzieci wszystkie ciężary przenoszą na własnych plecach. Ojciec dźwiga około 70 kg, matka do 50 kg, dzieci od 12 do 15 lat ponad 30 kg. Wioski górskie Szerpów znajdują się na wysokości 3000-4000 m. Od 30 lat uczestniczą oni w różnych wyprawach, w których nabrali sporo zaprawy, a równocześnie znajomości psychologii alpinistów, którzy wtargnęli w Himalaje. Niektórzy spośród Szerpów noszą honorową nazwę „tygrysów" do której ma się prawo po przekroczeniu 8000 m. Nie znaczy to, że nigdy nie doznają oni objawów górskiej choroby. Jako przewodnicy zachowują jednak Szerpowie niczym niewzruszoną równowagę ducha podtrzymując alpinistów wśród zimna i burzy, w depresji fizycznej czy moralnej, sami odporni na wszystkie niespodzianki, jakie stwarzają góry i zdradziecki klimat.

Transport sprzętu i żywności pomiędzy czterema górskimi obozami, które założyć musiała szwajcarska wyprawa jako etapy swego ataku na południowe siodło był ogromną próbą sił i wytrzymałości. Po przejściu dolnej części lodowca Khumbu wyprawa natrafiła na kocioł wypełniony olbrzymimi zwałami firnu czyli zlodowaciałego śniegu. W tym miejscu trzeba było pokonać różnicę 800 metrów poziomu, aby dotrzeć do południowej ściany szczytu. Natknięto się tam na prawdziwy labirynt zwisających bloków lodowych, wśród których kryły się głębokie bruzdy i szczeliny. Wiodła tędy jedyna droga do górnego piętra Khumbu. Tuż u kresu długiego korytarza wijącego się wśród kolosalnych rozmiarów bloków lodowych zwanych sezakami wyprawa natrafiła na szczelinę szerokości sześciu metrów. Wszelkie próby obejścia jej dookoła okazały się niemożliwe. Czterej alpiniści musieli więc znów zejść na dół do najbliższego obozu i nocą opracować nowy plan. Trzeba było odwołać się do pomocy obozu nr I, gdzie znajdowały się specjalne liny konopne i żelazne kotwice. Po bezsennej nocy wyruszono z nowym sprzętem jeszcze raz w górę, z planem przerzucenia mostu linowego. Po wielogodzinnym marszu wyprawa znowu dotarła do fatalnej szczeliny i jeden z jej członków Asper rozpoczął próby przejścia na drugą stronę. Jego zmagania możemy zobaczyć na reprodukowanych zdjęciach. Po długiej, żmudnej wspinaczce poprzez głęboką szczelinę przeciągnięto cztery mocne liny, po których ludzie przesuwali się leżąc na brzuchu Szerpowie z ociąganiem się próbowali przejścia, wkrótce jednak most nad szczeliną wszedł w użycie i dzień za dniem służył jako przejście dla całej ekspedycji. Trzy tygodnie trwał transport materiału pomiędzy obozami, wciąż w górę, do czwartego najwyższego. Dwudziestu ludzi co dzień przenosiło po 20 kg. Przeskakiwali szczeliny lodowca, przechodzili śnieżne mosty, przewijali się bystro pomiędzy lodowymi wieżycami, skacząc lekko z bloku na blok, z sezaku na sezak wśród ciągłej grozy lodowych lawin. Przerzucenie takiego ciężaru poprzez zwały firnowe uważane jest za wyczyn równy wygraniu wielkiej bitwy, która nie rozstrzyga co prawda całej kampanii, ale przybliża ostateczne rozstrzygnięcie, rozstrzygnięcie, którego wyprawa szwajcarska w tym roku nie osiągnęła z powodu niezwykle trudnych warunków atmosferycznych.

Problem Everestu od strony techniki alpinistycznej wydaje się jednak rozwiązany. Zbocza szczytu Lhotse i południowego siodła nadają się do przejścia. Groźnym pozostaje jednak wicher, bodajże najsroższy wróg. Zrywa się on na tych wieżycach nagle, z jasnego nieba, a dmie z taką siłą i gwałtownością, że porywa wszystko co napotka i ciska z szaloną wściekłością. Zdobycie Everestu dojrzewa technicznie, ale zdane jest na łaskę i niełaskę wichru czy ciszy. Ostateczny sukces jest sprawą tego łuta szczęścia, którego wyprawa szwajcarska nie miała *K. S.*



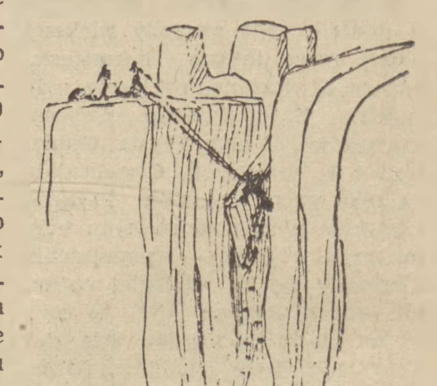
Asper próbuje przedostać się ruchem wahadłowym na nawis po przeciwległej stronie szczeliny co nie udaje mu się. Flory i Hofstetter ubezpieczają go z góry.



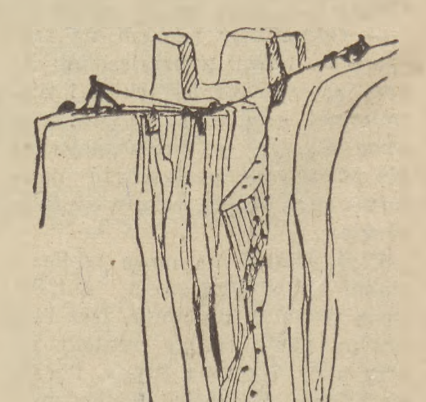
Po opuszczeniu się 20 metrów w głąb szczeliny Asperowi udaje się osiągnąć przeciwległą ścianę.



Rąbiąc stopnie Asper wspina się po ścianie szczeliny.



Wspinając się od dołu pokonuje Asper nawis.



Po zakotwiczeniu poczwórnej liny Flory przebywa szczelinę.

Tragedia księdza Cénabre

(Dokończenie ze str. 4)

A przecież bez pokory usiłuje „grać" świętego. To nie jest psychologicznie niezrozumiałe. Słynny moralista belgijski, O. Martial Leguex OFM, mówi:

„Jest wielu katolików, którzy chcieliby zostać świętymi... ponieważ ten termin tak przyjemnie łechce ich próżność: chcieliby być świętymi — istotami wybranymi i podziwianymi; nie pragną spełnienia się woli Bożej, chcą ziszczenia woli własnej... Jest wielu takich kandydatów do świętości, którzy sami siebie oszukują i sami siebie czczą. W ich duszach znaleźć można tylko przytłumioną ambicję. Nie zdając sobie często z tego sprawy wyznają przekonanie, że wśród wielu wielkości ludzkich świętość jest wielkością najchwalebniejszą..."

Także w swej *Nocy ciemnej* pisze święty Jan od Krzyża (a wiemy, jak pilnym czytelnikiem jego dzieł był Bernanos):

„Początkujący.. ulegają pewnej ukrytej pysze, rodzącej się z zadowolenia z nich samych i z czynów, jakie wykonują... Szatan roznieca w początkujących zbytnią gorliwość i pragnie wykonywania różnych uczynków, aby w nich obudzić pychę i zarozumiałość. Zdaje sobie bowiem sprawę, iż wszystkie cnoty i dobre uczynki, jakie te dusze wypełniają nie tylko im nie przynoszą pożytku duchowego, lecz obracają się na ich zgubę. Czasami dochodzą te dusze do takiego stanu, iż pragną, aby nikt prócz nich nie był doskonały... Żywią pragnienie, by (je) *oceniano i usiłują zwrócić na siebie uwagę innych.. Te niedoskonałości stają się źródłem innych, o wiele gorszych...* (rozdz. 2).

Te cytaty potwierdzają nam psychologiczną prawdziwość postaci księdza Cénabre. Ale mówią one nam jeszcze o jednym: że Cénabre nie tylko udaje świętość. On także próbował drogi świętości! Cénabre doświadczył tego, co dziś coraz częściej zaczynamy nazywać „pokusą świętości" — świętości d l a świętości, świętości dla własnej chwały a nie dla miłości Boga. Doświadczył tego i na tym się zatrzymał. I to stało się przyczyną katastrofy. Bo na drodze świętości nie można się zatrzymać Kto na niej stanął — pada. Piekło ma najwięcej pociechy z niedoszłych, „przegranych" świętych. Cénabre zaczął swój bieg bez pokory. Skończy swój bieg także bez wiary i bez miłości. Bo tracąc jedną z cnót — traci się wszystkie i ulegając jednemu z trzech pożądań — ulega się ostatecznie wszystkim. Wyrosła na gruncie pychy ambicja zupełnego odosobnienia się od społeczności ludzkiej, odrzucenia pomocy płynącej z obcowania z tą społecznością, a także ambicja pozbycia się wszelkiego dobra doczesnego po to tylko, by być uwolnionym od obowiązku dzielenia się z innymi tym, co posiada — doprowadziła księdza Cénabre do zupełnej utraty cnoty miłości.

Nic nikomu nie zawdzięczać i nic nikomu nie dawać — oto zasada postępowania księdza Cénabre, zbudowana na braku pokory i na obojętności wobec spraw drugiego człowieka. Postawa wykluczająca osiągnięcie świętości.

Bernanos nie potępi Cénabre'a. Pisarz wie, że za każdym człowiekiem wysłana jest w pewnym momencie jego życia strzała Łaski. Jej działanie następuje — zgodnie z teorią Bernanosa — poprzez świętego.

„Dusze świetlane — mówi Mounier — *wydobywają* (wszędzie u Bernanosa) *z cienia dusze mroczne.. Jest tak, jakby... istniał węzeł zależności losów... jakby jedno serce odzyskiwało nadzieję przy pomocy serca, które tę nadzieję utraciło... Jest to jakby spisek — spisek zbawienia... Mouchette spotka Donissana, który za nią umrze... Chevance stanie na drodze świetnie skonstruowanego kłamstwa Cénabre'a, jego zaś zwłoki — na drodze cudownej obojętności Chantal..."*

W prawdziwym niebezpieczeństwie są natomiast letni, mierni ludzie środka: Pernichon, Espelette, La Pérouse, de Clergerie. Gdy za Cénabre'a, za Fiodora poświęcają się Chevance i Chantal, za nich nikt nie walczy. Czy jednak naprawdę nikt?

Postać „spowiednika służących" — księdza Chevance — to jakby zarys proboszcza z Ambricourt *(z Pamiętnika wiejskiego proboszcza)*, postać Chantal, bohaterki La joie — to szkic do postaci Bianki de la Force z *Dialogues des Carmélites*. O wszystkich świętych Bernanosa można powiedzieć, że są literackim obrazem *„małej drogi"* świętej Teresy. Czyż każdy z nich nie mógłby się modlić słowami małej - wielkiej świętej: *„O Jezu proszę Cię tylko o pokój duszy! O pokój, a zwłaszcza o miłość bezgraniczną! Niech będę zapomniana jak ziarnko piasku... O Boże, pragnę dla Ciebie poświęcić życie moje, nie mogąc inaczej okazać, że Cię kocham — rzucać kwiatki, to znaczy nie opuścić ani jednej sposobności do ofiary, choćby najmniejszej, ani jednego spojrzenia, ani jednego słowa ani czynu..."*

Lecz w *Zakłamaniu* przed postać księdza Chevance wysuwa się tragiczna sylwetka księdza Cénabre. Ostateczne rozwiązanie jego historii znajdziemy w *La Joie*. Tutaj mamy tylko walkę pomiędzy świętością a „świętością" — pomiędzy świętością daną „na dodatek" człowiekowi, który wiernie służy, a „świętością", która, — postawiona przez człowieka jako ostateczny cel, zasłoniła sobą prawdziwy Cel ludzkiego życia.

Jan Dobraczyński

Wydawca: Stowarzyszenie PAX, redaguje zespół
Prenumerata miesięczna 1,80 zł. Kwartalnie 5 40 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p tel 880 71,880 26
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3. Zam. 2251. 3-B-1 .793.